



Dr. STANISŁAW HELSZTYŃSKI
WARSZAWA, Grottgera 19 m. 13
Tel. 845-48

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO MULEWICZA.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wolności 17. :: :: :: :: ::

ZASTĘPSTWO REDAKCJI: Jan Śliwiński, Warszawa, ulica Flory 9.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE: Wende i Sp., Warszawa, Krakowskie Przedmieście.

Prenumerata roczna (na pocście) — 72 marek, półroczna — 36 marek, kwartalna — 18 marek.

Zeszyt pojedynczy 4 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględni wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego kwartału.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — Odpowiedzi na listy za nadesłaniem marki pocztowej. — Rękopisy bez nazwiska autora i wyraźnego adresu niosą się bez czytania. — — —
Redakcja nie wchodzi w dyskusję na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wolności 17

Telefon 5100



M. Szykowski — Zarys rozwoju pamiętnictwa państwa	7,60
A. Nowaczyński — Pułaski w Ameryce	6,50
A. Nowaczyński — Szkice literackie	9,—
T. Tyc — Facet z dawnej Polski	3,00
Zuk-Skarszewski — Pustka	6,50
W. Berent — Żywe kamienie	11,—
B. Tagore — Gitanjali	12,—
M. Sobieski — Na Marginesie don Kiszota	6,—
M. Scheff — Ziemstwa kredytowe	9,—
Cz. Andrzejewski — Żywił niemiecki w zachodniej Polsce	3,40
I. N. Kosmowska — W. Libelt jako działacz i polityczny społeczn.	2,70

Do nabycia w wszystkich księgarniach.

Wacław Berent

Żywe Kamienie

(„Opowieść Rybaltą“)

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA”
w Poznaniu, plac Wolności 17.

Nabyć można w wszystkich księgarniach.

Cena 11,— mk.

RZECZY PIĘKNE

miesięcznik poświęcony architekturze, rzeźbie, malarstwu, ochronie zabytków, kościelnictwu i rzemiosłu.

Kraków, ulica Smoleńska l. 9.

ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SŁUŻBY KULTURY I WYŚLÓWY

ROK 3

LIPIEC 1919

TOM VIII

ZESZYT 7-8

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 43-44.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WOLNOŚCI 17.

TREŚĆ: Stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych — Olwid. Wizja Hermesa — tłum. z francuskiego J. Przybyszewski. Stare jak świat — Kazimierz Wierzyński. Miguel Manara — Oskar W. Miłosz (przełożyła Br. Ostrowska). (Dokończenie.) Jabłuszko d'Anis — Francis Jammes (tłom. Halina Ostrowska). Raz tylko widziałem ślad ludzkiej stopy — Jerzy Hulewicz. Gody jesienne — Jarosław Iwaszkiewicz. Miscellanea: Dość nienawiści. List do przyjaciół o „Żywych Kamieniach” — Wacław Berenta — Jarosław Iwaszkiewicz. Ignacy Matuszewski. Znamienne obawy. Wycinanki. Książki nadesłane. **RYCINY:** Drzeworyt oryg. — Wł. Skotarek. Rysunek — E. Nadelman. Rysunek — A. Szmał. Winiety J. J. Wroniecki i St. Dąbrowski.

STAMTĄD PRZYJDZIE SĄDZIC ŻYWYCH I UMARŁYCH.

J. J. WRONIECKIEMU.



dę w cichym pochodzie mętnych latarni, groteskowo za-
woalowanych nudnem, rozwodnionem mlekiem mżącej ku-
rzawy.

Narożnik. Przed nim cisza. Deszczyk chucha mi
w twarz delikatnie. Ale wiem, że gdy narożnik minę,
sieknę z boku, od spodu, mokra płachta prosto w lewy
policzek. Na rogu czarny słup latarni niemej, bo ciemnej.
Porusza się. Wiatr nieprzystojnie targnął spódnicą sze-
leszczącą. Mętny błysk od woalu latarni rzucił się na
parę oczu cynizmem splamionych, wrzaskliwych, podma-
lowanych upodleniem. Hi, panienko! Nie głupio to stać

tak w pluchę pod cieknącą latarnią? Za chlebem...? Czy za nowym jedwa-
bnym gorsetem?

Nowy narożnik. Z lewej chlast mokrej wicherzycy, z prawej niegoraszy dwojga
liżących oczu. Miły, ładny! — weź mnie, kup mnie; na noc — na godzinę! Sunię
z ogonem skulonym jak suka, której źle patrzy z oczu.

Z jaskrawożółtej czeluści portalu wylewają się z wrzawą rodu ludzkiego
pomyje. Gęstą kałużą tłuszczu rozlewają się po asfalcie. Tańczy nad ciepłą tą
cieczą drganiem skwarne południa zamęt błyskotliwych upojów i wrzasków ka-
baretowych. Piórka, lakier, parodia fiołków, pomada, szklane perły, puder, po-
kost ordynarny. U chmury zawieszony krzyż ponad katedrą nurza w mokrym
pyłe ramiona. Nic nie mówi. — Na moment otwieranych drzwi wyskoczył
na ulicę charkot elektrycznego pianina i zaduch wódki.

Dotknięcie palcem elektrycznego kontaktu wystarczy, by lakier, piórka i pomadę w ciemność zepchnąć. Szklanne perły prawdziwiej błyszczą w pomroce. Fiołków parodia w ciemni doskonałej łechce zmysły. Ludzka kałuża powoli ścieka w dół ulicy. Ściekamy z nią pospołu...

— Pójdziemy?

Oczy macają mnie wstrętnie.

— Pójdzie-my...?

— A i owszem, owszem. Z gustem, z gustem (ropucho!). Połknąłem dziś atropinę, najmilszy małpiszonie — porządną dawkę, sutą. I, uważasz, resztko cytryny — czuję się jak po beczce rektyfikatu. Dobrze to mieć przyjaciela — chemika, co zmiesza, ugniecie, usypie tak miły proszek niewinny...

Przez nieskończoną ulicę człapie w deszczu konisko sterane. W milczeniu miejskiej jaskini takt ledwo podnoszonych nóg dygoce jak rytm taniego budzika na nocnym stoliku. Za chwilę, gdy nastawiona minuta się zjawi, wrzaśnie dysonans ruchliwego młoteczka.

Już jej niema. Doskonale. Choć oczy jej tak pięknie harmonizowały z połyskiem wody w zatłuszczonej kloace. „Warjat“ — cisnęła na odchodnem. Pięknie. Słusznie.

Ni w pięć ni w dziewięć dynda posrebrzany dzwonek w tej rozmokłej mgłę. Idzie ku mnie. Wierzyłem w anioły, gdy matkę miałem.

Osuwam się tępo na kolana. Sakrament. Czy dlatego, że matka tak uczyła swoje małe dziecię? Latarnia ministranta migoce niezdecydowanie. Z pod piszczącej gumy peleryny wychyla się ząbek koronki białej jak moja twarz. Na kolanach woda do skóry mi przemaka.

Idę. Myślę o tem, że miałem kupić cygaro. Nic to, że północ. Ale lepsza od cygara atropina. Oglądam się. Płomyk ministranta zanurzył się w kłęb spekulatorów kina, głosik posrebrzanego dzwonka zamarł w tumanie podrobionej woni kwiatów.

Pomykam się. Pod ociekającym drzewkiem drzemie na cokole granitowym jakiś poecik. Ja też na takim bloku stanę, bo też mam w głowie sucho.

Błądzą? Ależ nie, bo wiem, dokąd zmierzam. Idę po cygaro. Nic to, że północ. Już dawno byłby świt, gdyby nie ta opończa brudnej wody. Zaczynam krążyć w koło. Wciąż ten sam okrążam placyk. Coraz bliżej środka, coraz mniejsze koła. Już kręcę się około własnej osi. Wolno, prędzej, coraz prędzej. Jak bąk dłonią łobuza puszczony wiruję, szaleńcza baletnica w takt muzyki kapiących kropli. Wiruję, wiruję — — —

Czaszką trzasnąłem o coś potwornie twardego.

Zimno mi w głowę, mój śliczny kapeluszyk w ścieku.

Byłem zawsze przekonany, że asfalt jest miękki.

Znalazł cię nad ranem stójkowy. Widząc, żeś zdrow na ciele a bełkocesz od rzeczy, pięknie cię otulił i zawiózł do szpitala warjatów.

Bełkocę od rzeczy. Jak to ja zawsze. Sztuka to w ogóle bełkotanie od rzeczy — tego świata. Do szpitala war—ja—tów — — brrrr!!

Ciepło, sucho, białe, głupio.

Biedny kapelusz w ścieku!

Jestem dziś proszony na raut. Pójdę, naturalnie. Tylko ten kapelusz w ścieku. Widzę raut. Demokratyczny. Bezszerne kroki. Ogromne koło mieniącej się czerni i bieli, płam jaskrawych i matowych obraca się wolno, wolno, bezustannie — za sobą wlokąc jak obłok kurzawy tuman pomieszanych perfum (parodia fiołków — gdzie to było...?). Rozoraną skibą zalatujący but, lśniący djadem, warszawski bucik aż miło, rubaszna czerwona chusta na szyi, monokl, wąsy piastowskie, srebrzyste akselbanty... Spotniała prawica sprzęga się z różaną wymanicurowaną rączką. Interes z głupim uśmieszkiem dobrego wychowania. Obłuda z bezwstydem.

Pójdę na raut choć bez kapelusza.

Panie doktorze — czy pan uważa, że atropina jest szkodliwa? Pewno nie-gorsza od oczu upodleniem podmalowanych.

Trzy dni w szpitalu warjatów — państwu się zimno robi, a ja mówię głośno, że tu jest paradnie. Patrzę przez kratę na ulicę (za dnia). Ludzie tam tacy grzeczni, tak cicho i pokornie patrzą mi w oczy — a nieraz z przerażeniem. Boją się mnie. Teraz? O tak, mają słusność. Duch mój w oczy im plunie piętnastu piekieł pogardę.

Lepiej z szpitala warjatów patrzeć przez kratę na rozsądną publiczność i nic przez szyby nie słyszeć, niż z granitowego cokołu wylupiać kamienne oczy na etykę i lubieżność człowieczą.



Z cieplej, suchej, białej, głupiej izby zawleczono mnie tutaj. Tu lepiej i gorzej. Niema krat, jest szybka tak wysoko, jak ponad głowę rozsądnego człowieka jest niedosiężny u chmury krzyż katedry. Krzyż chrześcijański. Ale tu miękko, bardzo miękko: ściany wypchane poetyczną trawą morską. Siedzę na materacu. Trudno tu rozbić głową o twardo-miękki asfalt. Kino — raut — kapelusz — latarnia — ropucha — człapiący koń-budzik — atropina. Atropina.

I Sakrament pamiętam.

Sakrament, który zawsze wzbudza we mnie wizję Sądu Ostatecznego.

... stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Żywych i umarłych.

Tak matka mnie uczyła.

Więc tak widzę:

Gdy krótka droga pyłu ziemskiego wśród wieczności niewzruszonych kolei dobiegnie kresu — gdy globu człowieczego puch się rozsypie i po niedługim trwaniu na mirjady wieków niczem się stanie —

Rozpęknie ode wschodu do zachodu liljowy firmament i w ciszy niezmierzonej i skamienieniu wszego bytu przyjdzie

POMAZANIEC.

Z ogromną bladością Boskiego brzemienia na licu, z dłonią do przekleństwa wzniesioną (nim ku błogosławieniu zniknąć będzie mogła), z piorunem Boskiego bólu i gniewu nieskończonego —

I będzie Sąd czynił.

Sądzić będzie żywych i umarłych.

Nasamprzód nie tych żywych, co w nędzy ciała dziecku chleb kradziony do ust kładli — nie tych żywych, co istotę drogą od bólu życia śmiercią ciała wyzwolić mniemali lub sami życia się ulękli — nie.

Ale umarłych nasamprzód.

Tych umarłych, niepomnych, iż Bóg-Artysta na Swoje ich urzeźbił podobieństwo, nie zaś na człeczce.

Tych umarłych, co iskrę Boga-Artysty, w sobie stłumioną za pierwszym błyskiem, u drugich mokrym płatem formuły dusili.

Tych umarłych, co widzieć nie chcieli, iż Syna Bożego ziemską drogą był Ruch, była Fantazja, była duchów Rewolucja.

Tych umarłych, co wstrzymywali w rozpędzie Ruch każdy.

Którzy Fantazji upalali skrzydła smrodliwą swą lampką urojonych praw.

A ducha zbuntowanego im przeciw plugawili śliną swej przyziemności.

Onych umarłych w duchu nasamprzód sądzić będzie Pomazaniec.

*

Odetchnąć mi pozwólcie.

Czemuż to w materace zamknąłeś ciało me... doktorze...?

WIZJA HERMESA^{*)}

FRAGMENT Z DZIEŁA EDWARDA SCHURÉ „WIELCY WTAJEMNICZENI“
(LES GRANDS INITIÉS.)

Jednego dnia, rozmyślając nad początkiem wszechrzeczy, popadł Hermes w lekki sen. Ciężkie ubezwładnienie spowilo jego ciało; ale w miarę, jak ciało nieruchomiało, duch jego wznosił się ku wyżynom. I oto zdało mu się, że jakaś bezkresna istota o kształtach nieuchwytnych, zawołała go po imieniu.

— Kto jesteś? zapytał przerażony Hermes. — Jestem Oziris, Mądrość świata i mocen jestem odsłonić ci wszelką tajemnicę. Mów, czego pragniesz? — Początek Bytu oglądać, o boski Ozirisie, i Boga poznać. — Niechaj ci się stanie.

W tymże momencie uczuł się Hermes przenikniętym cudowną światłością. A w tej przezroczej światłości poruszały się zachwycające kształty wszystkich istot. Lecz nagle straszna ciemność ogarnęła splot kształtów. Hermes został pogrążonym w wilgotny chaos, pełen dymu i wrzenia. Wówczas z otchłani ozwał się głos. Był to Krzyk Światła. Natychmiast z wilgotnych głębin wydobył się subtelny płomień i dosięgnął eterycznych wyżyn. Hermes wznosił się wraz z nim i znalazł się znowu w świetlanych przetworach. Chaos otchłani rozwił się, korowody gwiazd rozsypały się ponad jego głową, a Głos Światła wypełnił Wszechświat.

— Czy pojąłeś to, coś ujrzał? — zapytał Oziris jeszcze snem spowitego, między niebem a ziemią błądzącego Hermesesa.

— Nie — odrzekł Hermes.

— A zatem zrozum. Widziałeś to, co odwiecznie istnieje. Światło, które najprzód ujrzałeś, to boska Mądrość, która wszechrzeczy zaród w sobie zawiera i prawzory wszelkich istot w sobie mieści. Ciemność, w której się potem pogrążyłeś, to świat materji, w którym żyją synowie Ziemi. Płomień atoli, który z otchłani się dobywający ujrzałeś, to boskie Słowo. Mądrość jest Ojcem, Słowo jest Synem, a ich połączenie to Życie.

— Jakież cudowny świat myśli odsłonił się przedemną — rzekł Hermes. — Nie widzę już oczyma ciała, ale oczyma ducha. Jakże to się stało?

— Z prochu poczęte dziecko — odrzekł Oziris — stało się to, bo Słowo ocknęło się w tobie! To ono w tobie słyszy, widzi i działa, Słowo, święty Ogień, twórczy Głos.

— Jeżeli tak jest — odrzekł Hermes, — to pozwól mi ujrzeć życie światów i drogę dusz, skąd człowiek przychodzi i dokąd zdąża. — Niechaj się stanie, jako pożądasz.

Znowu stał się Hermes cięższym od kamienia i spadał w przestwór, jak meteor. Wreszcie ujrzał się na szczycie góry. Naokół noc, ziemia pogrążona w ciemnościach i naga; członki jego ciężały, jak żelazo.

— Podnieś wzrok i patrz — rzekł Oziris.

I oto ujrzał Hermes cudowne widowisko. Niezmierna przestrzeń rozgwieżdżonego nieba okalała go siedmiu świetlnymi sferami. Jednem spojrzeniem ogarnął Hermes nad swoją głową rozpostarte siedem nieb, podobnych siedmiu przezroczystym, koncentrycznym

^{*)} Wizja Hermesa znajduje się na początku ksiąg Hermesa Trismegista pod nazwą Poimandres. Prastara egipska tradycja jest nam przystępną jedynie w nieznacznie zmienionej, aleksandryjskiej formie. Ja z mojej strony usiłowałem ten najważniejszy i najstarszy fragment hermetycznej nauki, odtworzyć w myśl wiedzy objawionej i ezoterycznej syntezy, którą przedstawia.

globom, w których syderecznym, środkowym punkcie on się znajdował. W każdej sferze krążył inny planeta, któremu towarzyszył genjusz o rozmaitym kształcie i rozmaitym świetle. Podczas kiedy Hermes olśniony oglądał ich wspaniałe kwietny korowód, ich majestatyczne poruszenia, ozwał się głos:

— Patrz, słuchaj i zrozum! Widzisz siedem sfer wszelakiego życia. Poprzez nie dokonywa się upadek dusz i ich wzlot. Siedem genjuszów to siedem promieni świetlanego Słowa. Każdy z nich panuje w jednej sferze ducha, w jednej fazie życia duszy.

Najbliżej ciebie jest genjusz księżycy z swym niepokojącym uśmiechem i sierpem na głowie. Włada on życiem i śmiercią. Wyzwala duszę z ciała i przyciąga ją w obręb swego promienia. — Ponad nim błądy Merkur wskazuje drogę wzlatującym lub opadającym duszom swym kadyceuszem, który naukę zawiera. — Jeszcze wyżej błyszcząca Wenus trzyma zwierciadło miłości, w którym się dusze naprzemian gubią lub odnajdują. — Ponad nią wznosi genjusz Słońca tryumfalną pochodnię piękności. — Ponad nim Mars miecz Sprawiedliwości. — Tronując nad niebiańskimi sferami dzierży Jupiter, berło najwyższej władzy, którą jest boska Wiedza. — Na krańcach świata, pod znakiem Zdjaka, dźwiga Saturn glob Mądrości Wszechświata.*)

— Widzę — rzekł Hermes — siedem sfer, które widzialny i niewidzialny świat obejmują; widzę siedm promieni świetlanego Słowa, jedyne Boga, który je przenika i przez nie Wszechświatem włada. Ale, o mistrzu mój, w jaki sposób dokonuje się wędrówka ludzi poprzez te wszystkie światy?"

— Czy widzisz — rzekł Oziris — z regionów mlecznej drogi w siódmą sferę opadający świetlany posiew? Są to zarodki dusz. Żyją one w sferze Saturna, jako lekkie opary mgieł, szczęśliwe i bez troski, ale szczęścia swego nieświadome. Opadając z jednej sfery na drugą, przyodziewają się w coraz grubsze obłony. W każdej inkarnacji zdobywają nowy cielesny zmysł, odpowiadający otaczającym je warunkom bytu. Ich energia życiowa wzrasta; ale w miarę, jak w coraz grubszych ciałach przemieszczają, tracąc wspomnienie swego niebiańskiego początku. Tak dokonuje się upadek dusz z boskiego poczętych eteru. Coraz to więcej materią spętane, coraz więcej życiem upojone, z drżeniem rozkoszy jak ognisty deszcz spadają poprzez krainy bólu, miłości i śmierci na ziemski padół swej niewoli, w której i ty jęczysz, trzymane na uwięzi przez ogniste centrum ziemi, na której ich przeszłe boskie życie pustym snem im się zdaje.

— Mogą dusze umierać? — zapytał Hermes.

— Tak — odrzekł głos Ozirisa — wiele z nich ginie w losami ciężarnym zstępowaniu. Dusza jest córą Nieba, a wędrówka jej doświadczeniem. Jeśli w nieokielzanej miłości ku materji ztraci wspomnienie swego boskiego początku, powraca zawarta w niej boska iskra, która promienniejszą od gwiazd stać się mogła, w sfery Eteru, jako atom bez życia — i dusza rozpryskuje się w wirze grubych elementów.

Na te słowa Ozirisa zadrżał Hermes. Bowiem z poszumem huraganu spadła nań czarna chmura. Zniknęło siedem sfer pod gęstemi jej oparami. Ujrzał w nich widma ludzkie, straszny wrzask podnoszące, chwythane i rozszarpywane przez upiorne zwierzęta i potwory, wóród jęku i skowytu nieopisanych bluźnierstw.

*) Oczywiście w języku egipskim noszą bogowie inne nazwy. Ale siedem kosmogonicznych bóstw odpowiadają sobie we wszystkich mitologiach pod względem znaczenia swego i atrybutów. Pochodzą one z wspólnego źródła z prastarej, ezoterycznej tradycji. A ponieważ tradycja Zachodu przywołała sobie nazwy łacińskie, dla jasności pozostawiam je.

— Takim jest — rzekł Oziris — los niepoprawnie niskich i złych dusz. Męczarnia ich kończy się z ich zniszczeniem, które na utracie wszelkiej świadomości polega. Ale patrz, opary mgieł rozpraszają się, pod wygwieżdżonem niebem zjawia się znówu siedem sfer. Spójrz w ich kierunku. Czy widzisz tę chmarę dusz, które ku sferze księżycy wzniesić się usiłują? Jedne opadają z powrotem na ziemię, jak wichrem miotana chmara ptactwa, inne osiągają silnem skrzydeł uderzeniem wyższą sferę, która je w wir swej osi przyciąga. Gdy się raz tam dostaną, odzyskują boskie widzenie rzeczy. Teraz wszakże nie zadawalniam się tem, by je w sennej półświadomości bezsilnego szczęścia promieniować. Każą się niem przenikać z jasnością bólem oświeconej świadomości, z energią w walce zdobytej woli. Są pełne światła, bo posiadają w sobie samych boskość i promieniają ją w swych czynach.

Wzmacniam więc swą duszę, o Hermesie, i rozweselam swego zasepionego ducha, oglądając lot tych dalekich dusz, które ku siedmiu sferom się wznoszą, a będziesz mógł pójść ich śladami. Wystarczy chcieć, by się wznieść. Patrz, jak się roją i boskie tworzą chóry. Każda staje w szeregach pokrewnego jej geniusza. Najpiękniejsze żyją w solarnej sferze, najmocniejsze wznoszą się ku Saturnowi. Niektóre dosięgają swym wzlotem Boga-Ojca, wśród boskich mocy sami stając się mocami boskimi. Tam bowiem, gdzie się wszystko kończy, poczyną się wszystko w Wieczności; a siedem sfer przemawiają razem: Mądrość! Miłość! Sprawiedliwość! Piękność! Wspaniałość! Wiedza! Nieśmiertelność!

PRZEŁOŻYŁA JADWIGA PRZYBYSZEWSKA



Drzeworyt oryg. — Władysław Skotarcuk.

STARE, JAK ŚWIAT

JULJANOWI TUWIMOWI.

Pisałbym tylko o wschodach, zachodach
Wiersze banalne i stare, jak świat,
Powtarzał ciągle to samo i wszystkim
Był bez powodu i bez końca rad.

Chodziłbym z kijem w łukowych sandałach
I w karczmach babom androny swe plótl,
Że każde głupstwo największą jest prawdą,
A wszystko razem, że jeden jest cud.

Robiłbym wiece włóczęgów i gapiów
Pod gołym niebem i mełł byle co,
Ot, by sami już raz przekonali,
Że choć nie wiedzą, to jednakże są.

Prawiłbym, gadał bez końca to samo,
Jak kalwaryjski apostoł i dziad,
Ażbym nauczył się od nich rozumu
Serc oklepanych i starych, jak świat.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.



Rysunek — E. Nadelman.

OSKAR W. MIŁOSZ

MIGUEL MANARA

MISTERJUM W 6 OBRAZACH.

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
BRONISŁAWA OSTROWSKA.

(DOK.)

Jest stary i śpi w swych trzech deskach, a ja tu
sam jestem,

sam z mem sercem kamiennem, azepecący pacierze
w ucho kamieni. Bowiem wy, ludzie, mówicie,
że mury mają uszy dla waszych bluźnierstw i zdrad,
lecz tu, gdzie życie me jest uśmiechem i pod
szminek,

lub łzą kobiecą, upadła na szyby,
tu kamienie są pełne cierpliwości, co czeka,
i oczekiwania, co słucha...

Don Miguel:

Celo ciemna! Obrazie mego serca!
Radosne umartwienie!
Ciszo katakumb! Jakże cię już miłuję!

Przeor:

Miłość i pośpiech źle idą w parze, Manaro,
bowiem się cierpliwością mierzy miłość.
Krok równy jest najpewniejszy, — to postawa
miłości, —
czyli idzie żywopłotem jaśminów z dziewczyną
pod ramię,
czyli samotna między dwie aleje grobowców...
Cicho!

Nie przyszedłeś tu na podstępny, mój panie!
Tutaj — życie jest długie.

Trzeba nam tu dzieciństwa, i młodości, i nauki,
i kształcenia ich,
i dojrzałości, znającej sprawiedliwą wagę każdej
rzeczy,

i powolnej starości, rozmówianej w mogile.
Z jakąż więc przezornością poruszać się trzeba:
bowiem płonące ciało buntuje się przeciw sty-
gnącej krwi,
a trza leżeć spokojnie w wąskiej i krótkiej tru-
minie,
kiedy się w niej przylegnie ze zdrową ochotą
przespania godziny, czy dwóch snem pustym
i głębokim, jak chwila.

Toczyć krew własną, to rzecz łagodnie zdradliwa,
a bezsenność pożera serce.

Otóż, — życie jest długie tutaj, — słyszysz?

Głód zbyt okrutny jest także pokusą:

trzeba gryźć chwasty i korzonki szczeką zwie-
rzęcia,

które ma wielką łakę i długie dnie lata przed
sobą.

I trzeba przemawiać do wieczności jasno i po-
prostu,
nawet nocą, gdy miłość jej chwyta za gardło,
jak zbójca.

Wiedz również, że jest dobrze powtarzać prze-
kazane słowo, —

koryto skalne dla gorzkich wód twojej miłości, —
bowiem trza, by modły były postem, zanim się
staną ucztą,

i nagością serdeczną, zanim będą płaszcem nie-
bieskim gwiazdami światów gwarnym.

Nadejdzie może dzień, kiedy ci Bóg pozwoli
wejść gwałtownie, jako siekiera w mięszsz drze-
wny,

i paść szalenie, jak kamień w mrok wód,
i wáliznąć się śpiewnie, jak ogień w pierś metalu.

Tego dnia poznasz, z jakiej gliny ten świat jest
uczynion,

i będziesz swobodnie mówił z duszą świata,
i drzewa, i wody, i metalu.

I będziesz mówił do niej głosem wiatru, i dżdżu,
i rozmówanej niewiasty.

O, mój synu! Człowiek niejednokrotnie
mawiał nie twarzą w prochu, lecz stojąc przed
Bogiem —

i dysząc Mu w oblicze wprost swoją miłością,
jako pożar olbrzymich borów albo miasta!
I Bóg się śmiał, — bowiem bały się Jego anioły...
To wszystko może kiedyś przyjąć, mój synu,
gdy wąż starą skórę odmieni, —
ale trzeba zaczynać od początku, — w tem ci
to jest wszystko.

Gryźć kamienie, skowycząc: paniel paniel paniel
To, jak współżyć z kobietą, która nie ma serca. —
Trza to zostawić zdradzonemu, co płaczą jedną
noc, czy miesiąc, czyli dziesięć lat
tutaj — żywot jest długi.

Będziesz się tedy strzegł tworzenia nowych mo-
dlitw.

Będziesz śpiewał pokornie z psalterza maluczkich,
i będziesz czekał.

Z ostatniej nocnej skry, z twego szaleństwa pier-
wsza zorza wstanie!

Krater serca wyje i grzmi, i czarny pomiot lawy
rozdziiera chmury i spada szarym głodem na pola
i winnice:

taką jest niszcząca modlitwa namiętności.

Ale gdy serce zaśnie w balsamie długich lat,
gdy ciało zamrze, krew zbieleje, a szpik zaschnie
w kościach,
gdy przeszła miłość, gdy przeszły ból,

miłość, i ból, i nienawiść
 staną się widziadłami, w których spada się topi,
 jak w wodzie,
 a wargę chwyta jeno własne odbicie, jak w szkle.
 wtedy dopiero mówi się do Boga nie o sobie samym
 i nie o własnem nędznem nieszczęściu, — ale
 o człowieku,

i o pianie mór, i o piasku,
 i o wietrze, i o dżdżu! Wiesz, jaki święty rzekł
 „oto wicher mój brat i moja siostra mgła“.

O, moje dziecię! gdybyś wiedział, eo człowiek
 może rzec Bogu,

gdy ciało jego krzyczy od zachwytu — Bóg,
 który wielbi siebie — —

— Nie masz twarzy człowieka, co słucha, don
 Miguelu,

zbyt myślisz o twej boleści.

Czemu szukasz boleści?

Czemu boisz się stracić tę, którą odnalazł? —

Pokuta nie jest bólem. Ona jest miłością.

Don Miguel:

Słucham was, ojcze. O daleko odemnie
 jest chęć utopienia mej nędzy w szaleństwie bólu.
 Niech ręka Boga mierzy gorzką miarę dnia i nocy,
 nie moja ręka! Niech niebo niewinne nie po-
 wie — :

oto Manara niesie mi barwiony ból,

jak nierządnica płacząca.

Nie, ojcze!

Znajdziesz we mnie łagodne zwierzę do obraca-
 nia żarn,

wołu, co da smarować swe boki pokłute,

lekiem litości i zasypia cicho,

by zorza odnalazła go rzeźkim do pracy

i radosnym, jako pieśń kurów porannych,

i pełnym mocy, pragnącej zadośćuczynienia.

Przeor:

O, lasko Boża!

Już gawędzi mój Manara, jakoby mnich,

co żebra dla swych biednych w żywym barw-
 nym tłumie

pod jasnym słońcem niedzieli,

gdy miasto pachnie całe nabożeństwem i jadłem
 niedzielnem.

Hola, mój piękny panie!

oszczędzaj zapal i wymowę, proszę,

na dzień jesienny i wieczór zimowy,

gdy trzeba będzie boso, w woni minionych lat

dźwiękać groszem skarbonki pod oknem bigota,

i przed wrotami starego kupca, i w przedsięniu

nierządnicy, tak hojnej, że aż chce się płakać.

Nie, piękny, piękny panie! Jeszcześmy tam nie

doszli!

Patrzę i widzę (niech mi Bóg przebaczy)
 nie oślicę o grzbiecie wgiętym, zszerszemałym,
 co nosi codzienny chleb,
 nie oślicę, co przychodzi jeść z ręki brata fur-
 tjana,

ale raczej rycerskiego rumaka, karmionego owsem,
 skapanego w piaskach Maurytanji

i zdzieranego pogańską ostrogą.

Co za ogień! Co za niecierpliwość straszliwa!

Spokoju! spokoju! drogie dziecię, —

a z trochę dobrej woli wszystko pójdzie dobrze...

Idę wydać potrzebne rozkazy.

Don Miguel:

Oto księżyc, a oto ziemia, a oto

człowiek słaby i jego wielki ból

a jednak, mimo, że to wszystko jest,

nie umiem rzec, że Ty jesteś.

Kimże bom ja jest, bym śmiał rzec, że Ty jesteś?

Nie jestem pewny, anim nie jest w prawie

być pewnym, — prócz tej jedynej pewności —

miłości mej, miłości mej,

ślepej miłości mej ku Tobie.

Nic nie jest czystem, prócz mej miłości ku Tobie!

Nic nie jest wielkiem, prócz mej miłości ku Tobie,

Nic nie jest pięknem, prócz mej miłości ku Tobie.

Złuda się rozwiała,

namiętność umarła,

pamięć się zatarła, —

miłość ostała.

Nic nie jest szczerem, prócz mej miłości ku Tobie.

Nic nie jest prawdą, prócz mej miłości ku Tobie.

Nic nie jest nieśmiertelnem, prócz mej miłości

w Tobie.

Bowiem jestem li zmarłym wśród ukochanych mych

zmarłych,

i próżnem słowem, prochem w uścich żywych. —

Miłość ostała.

O, piękno!

O, smutne, biedne piękno!

Ale chcę chwalić piękno,

z niego bowiem rodzi się — boleść,

Oblubienica — Oblubienica.

Twa wielka miłość pali serce moje,

Twa wielka miłość, jedyna pewność moja.

O, try! o głodzie wieczności! o radości!

Gorze! — daruj mi!

Gorze! — miłuj mnie!

V.

(Przed kościołem Miłosierdzia w Sewilli. Radosny tłum nie-
 dzielny. Dwóch mnichów zakonu Miłosierdzia na przodzie szczy).

Pierwszy zakonnik:

I jakoż wam się wydaje, mój bracie?

Co do mnie jestem, jak liść, cały drżący.

Że też język tak prosty tak czeka niebem i słoń-
cem napelnia, —
to istotnie rzecz, która przechodzi pojęcie!
Ciężko mi było, zwłaszcza w końcu mowy
powstrzymać łzy, a ostry, zduszony kaszel
dławił mi w gardle, właśnie jak gorzka pokrzywa.
O, święty Boży człowiek ten brat Miguel!
O, wielki naprawdę!

Chcę poczekać na wielebnego przeora, by spytać,
jaki skutek mowa taka piękna mieć może w sercu
Boga?

Nie jestem myślicielem. Źle czytam w księgach. —
Rydel i grabie to zwykle me towarzysze, i nie-
chaj słowo choć twarde,
choć odrobinę ucześnie przyjdzie podrażnić me
ucho, — wraz niemiej,
jak druh mój, robak ziemny.

A jednak dzisiaj zrozumiałem wszystko. Łago-
dne słowo pokutnika
padło mi w serce, jak przygarść rzadkiego ziarna.
A wiecie, iżem musiał na początku nauki zagry-
zać wargi, by się nie rozeźmiać:

Żali tak chwali się pana? — myślałem, —
oto język mulników i starych bab wiejskich!
i żaliśmy dzieci, by mówić trza nam te rzeczy?
a potem nagle uczulem, iż ta mowa
wychodziła jak gdyby już nie z ust ludzkich, ale
niby z warg rany głębokiej,
i kiedy mówić jał o panu, kroczącym po falach,
tedy głos jego stał się słodki mym uszom, jako
głos wód wielkich,
ukojonych i prześwieconych nagle czulem Bożem
światłem.

Drugi zakonnik:

I ja śledziłem, jako wy, mój bracie, we wszyst-
kich punktach
osobliwą naukę dzisiejszą. Zachwycałem się jej
ruchem i barwą...

Ale zaprawdę, wyschłem nad pergaminami
a stara głowa moja — to głowa stróża ksiąg.
Niestety! czemuż jest człowiek?
prostomowność zapewne może być urokiem,
ale jej zbytek często zatrąca herezją,
a puszczenie wodzów uniesieniu, jakkolwiek mi-
lęmbi się nam zdawało,
nie dorówna nigdy, mojem zdaniem, dobrze prze-
myślanej regule.

Pierwszy zakonnik:

Nie wypada mi wcale przeczyć wam, mój bracie!
Najmocniejsi kaznodzieje mniej tu są od was
świadomi. —
Przyznajcie jednak, że niekiedy i słowo buduje,
kiedy wychodząc z serca znajduje drogę do serca.

Weźcie też pod uwagę życie Manary: jego po-
tworną przeszłość,
jego skrucę płomienną, która go gna brudnego
od świtu,
z brodą na wiatr, głodem i pragnieniem w uścieceh,
z skarbonką w rękę; tę strasliwą pokorę,
która mu stokroć na dzień, jak kamień, potrąca
kolana,
rzucając we łzach, do stóp drwiącego żebraka,
albo na drogę nierządnic; tę śmieszłą czułość
dla maluczkich,
której zawdzięcza zachwyconych matek
pieszczotę wdzięczną, — jak się pieści oślicę lub
krowę...

(a ja sam często chwytam się na tem, że doń
mówię zbyt czule, jak kiedy znajduję
śmiertelnem uderzeniem rydla — kretowisko
jakowegoś biednego stworzenia w ogrodzie).
Uważajcie też proszę tę jego gorzką wdzięczność,
która ze wszystkich bólów i grzechów tej ziemi
czyni mu hostję słodką wargom i kłęcznik mo-
dłom pomyślny.

Zaliż go nie ujrzałem kiedyś, leżącego
krzyżem, mówiącego w głos do głuchej ziemi,
jako do matki swojej? I czyż także
nie widziałem go (było to zeszłej niedzieli)
jak podniósł kamień, rzucony nań przez pijaka,
i długo całował...

Lecz oto on — wychodzi z kościoła otoczony
gromadą obdartusów. Patrz, jako rozprawia,
zadzyszan jeszcze i cały w rumieńcach.

Nie widziałem go nigdy tak dziecinnie radosnym.

Drugi zakonnik:

Cóż to?

(Sparaliżowany żebrak Johannes Melendez, pokręcony cały, wle-
cze się żałośnie z kościoła. Śmiechy i krzyki na placu).

Pierwszy głos:

Oto stary kulawiec, wycieracz kościołów
Johannes Melendez, — stary złodziej,
którego dosięgnął gniew Boski.
Chodźcie! chodźcie tu wszyscy!
Wolno się krzyknę po długich litanjach.

Głos dziecka:

Trzeba rzucić mu w zęby kamieniem!
Mój pies ugryzł go wczoraj, a on mnie zawołał
łagodnie, z pewnością, by mię zbić.

(Kamień uderza Johanna prosto w pierś. Żebrak upada
z krzykiem).

Don Miguel:

Boże! w choroego, biedaka, starca, kalekę?!
A oto widzę twarze ludzi, twarze chrześcijan,
rozeźmiane
weselem, jakby sztukmistrz rozesłał kobierczyk.

Głos kobiety:

To Johannes Melendez, stary kruk i złodziej kulawy!

Dziecko w niego rzuciło, widzicie, kamieniem...

To nie! to tylko Johannes, ścierwo ludzkie urwane z szubienicy:

puścili go świeżo po czternastu latach galernika. Lepiejby go zabić, jak psa, — bo czemu i jest lepszym?

Gdy mu się rzuci kość, tedy się modli — na śmiech,

a potem wraca o zmroku, by kraść strawę psom porządnym ludzi.

Don Miguel:

Johannes! Johannes! żali mię słyszysz?

Johannes:

Jesteście świętym zakonnikami Manarą, poznaję wasz głos.

To dobry głos.

Don Miguel:

Johannesie, poleć się Bogu, bowiem masz oblicze człeka, który ma umrzeć.

Johannes:

O, biada! mi! Godzina nie wybiła.

Nie niepokójcie się, dobry mój mnichu!

Biada mi! Mimo starości, beziły i bólu,

Bóg mi odmawia snu. Będę musiał żyć jeszcze długie, długie dnie, — długie, długie noce. Trza

mi będzie pełzać, jak ziemny czerw, skrzypieć, jak koło bez mazi,

klócić się o kość nędzną z opuszczonym psem...

Chwila nie przyszła jeszcze.

Pokuta długą jest mój dobry mnichu!

Don Miguel:

Pokuta długą jest wielce, Johannesie, ale pokuta, Johannesie, jest słodką, — a ty nie mówisz, jak mówi wróg Boga.

Johannes:

Ja byłem długo, długo wrogiem Boga, jako mój ojciec zbój i matka ma nierządnicą.

Biedna matka! nie miała snadź odwagi zadławić mię i wykarmiła swem mlekiem złodziejki, — na swem łożu rozpustnicy.

Miałem lat osiem, gdy jeden ksiądz świętokradczy, tknięty litością, mówić mi począł o Bogu, o Ojcu, Synu, Duchu.

A gdy obaczył, że płaczę, — sam zapłakał gorzko. To on nauczył mię modłów. Modliłem się często za niego,

świętokradczego księdza — i za mą matkę nędzarkę.

A kiedy nadszedł dla mnie słodki dzień miłości, — pokochałem

młodą cyganę, dziką jak i ja.

Pokochała mię, a plemię jej wyгнаło ją jak sukę, za tę miłość dla chrześcijańskiego bękarta.

Dnie były ciężkie! dnie były złe, dobry mnichu, więc kradłem, by wyżywić jej słodkie usta kobiece.

I żywot galernika przejadł mi kości do szpiku.

A gdy nogi zwiózły, jak łachman przemokły, rzucono mię na brzeg z parą tych kul — i przy-

pełdłem umrzeć tu, — gdzie Bóg dał mi się niegdyś narodzić.

Don Miguel:

Paniel paniel! Wzywam Ciebie z Kapharnaum. Paniel paniel! podnoszę głos z krainy Genezareth.

Paniel paniel! O Tobie myślę na kresach Sydonu i Tyru.

Paniel paniel! Dobiega Cię mój głos z Derapolis.

Paniel paniel! Krzyczę ku Tobie z Betsaidy

Paniel paniel! zstap mi ku pomocy poza kresy Judei, poza Jordan. Amen.

(do paralityka)

Cierpiełeś wiele od ludzi, bracie mój Johannesie! Jakież ty imię dajesz Bogu w myślach twoich?

Zali nazywasz go Bolescią, czy Prawem, czy Zemstą?

Johannes:

Daję Mu imię, które jest Jego imieniem, Manaro, tem, które krzyżeliście dziś sami tam na kazalnicy, dobry bracie Manaro!

Don Miguel:

A jakież jest ono?

Johannes:

Miłość.

Don Miguel:

Odrzuć kule twoje!

(Johannes po chwili wahania odrzuca daleko kule).

Don Miguel:

Wstań — i idź.

(Johannes Melendez powstaje i, na nikogo nie patrząc, biegnie ku kościołowi z głośnym krzykiem).

Johannes:

Hosanna! hosanna!

(Przeor klasztoru Miłosierdzia i bracia całują skraj szaty Manary).

Lud krzyczy:

Cud!

(upada na kolana, prosząc o błogosławieństwo pokutnika).

VI.

(Podwórze w klasztorze Miłosierdzia. Ciasa ostatnich ehwil nocy. Niebo zasłane jeszcze gwiazdami, a jednak czuje się już świt. Małe drzewczki otwierają się bez szaleństwa, Miguel Manara jawi się a latarnią w ręku i sarkną na ramieniu. Jest bardzo stary. Włosy ma siwe, ręce mu drżą, opiera się na kijku).

Don Miguel:

O, serce moje! O, dziecko!

Nie spałeś, a oto już świt.

Oto świt. Zdziwił się, ujrzawszy w niebie księżyc wczorajszy.

Jestem sam we łzach nocy straconej na wieczność, sam z myślami dawnymi, jak z skoszoną trawą...

O, oblicze we łzach! O, wierności!

(Ciasa).

Pomarli. Nieznani śpią teraz wokoło mnie.

Ci, których serce nie kochało, zmarli już oddawna...

Jeden widzi mą starość stary brat ogrodnik, który zna myśli ziół i sny powietrza.

Wszyscy inni pomarli...

O, księżycu poranny! O, smutne oko wieczności!

(Ciasa).

Nie rzekło się wszystkiego. Nie wszystko uczyniło, —

trzeba działać, trzeba się modlić.

Serce, nabrzmiałe troską, jest jako szelest skrzydeł złamanych o fale. Całą noc, całą długą noc

troska była u boku mego, jak kochająca małżonka,

której się już oddawna nie kocha.

(Ciasa).

Obudziłem się wcześniej niż zuzwyczaj i złożyłem ręce w świetle lampki,

mam bowiem czynić wiele, a słuszna jest, że moje serce miłuje

słabą latarnię dnia i pacierz ranny

w tej chłodnej próżni,

co nie idzie z księżycą, ani jest tchnieniem poranka...

(Ciasa).

O księżycu poranny! Jakoż ty masz oblicze tych, co widzą rzeczy głębokie i dziwne...

O tej porze głodny zasypia, sycąc tchem własnym; chory robotnik, kaszląc, zbiera narzędzia; dziewczyna opuszczona ze strachem poznaje poddasze swe, lustro, szczotkę, i spogląda niema na stan swój rosnący, i nagle myśli o skrzypie studziennym.

(Ciasa).

Panie! panie! daj nam naszą codzienną nadzieję! Ojciec i Synu dajcie nam naszą odwagę codzienną!

Jak trędowaty żebrak wyciąga swą miskę do strawy,

tak ja wyciągam serce ku rozkochanemu życiu. Daj mi codzienną miarę mej miłości i odmierz mi ją jak najhojniej

dla innych, —

ażebym odszedł syty do tych, którzy nie kochają Ciebie i bluźnią,

i bym im rzekł:

Oto jego hojność. A nie są to dary Jego serdeczne, ale okruszyny ze stołu, a oto co jeszcze zostaje dla niegodnego a sytego sługi...

O, ulico! O, miasto! O, kraju! Ziemio — chodź — spożywaj, —

taki bowiem jest On — Najwyższy, taki jest Pan mój — Miłość.

Jam jest Manara, który kłamie kiedy mówi „kocham”, —

ale iżem rzekł Wiekuistemu „Miłuję”, serce moje radośnie jest, a moje ręce upragnione, jak chleb.

Co rzecze Paweł niewierny, co rzecze Marja nierządnica? —

Że to, co było skradzionem i zgubionem, było kradzieżą i zgubą.

Jam jest Manara, — a Ten, kogo ukochałem rzekł do mnie, że te rzeczy nie istniały nigdy. Jeśli zabijał czy kradł, — że te czyny nie istniały nigdy —

On tylko jeden — jest.

(Ciasa. Na horyzoncie świt).

Ciasa ma woń jabłoni marzącej. Niebo wdziewa szaty anielskie.

Wiew ziemi jest jako oddech wołu.

Mur przybiera barwę migdałów kwitnących, — jutrznia.

Studnia jęczy, niby lękliwy uczeń. Echo się z łoża podnosi

Oto już niosą wodę. Szeleści słoma w oborach. Kury pieją, kury pieją, — aż stare serce płacze. Już dzień.

O, ziemio! O, umiłowana!

(Gasi latarnię. Nadświechuje).

Słyszysz dzwon: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć!

Już czas na mnicha

I słyszysz trąbkę: tra-ra-ra! tra-ra-ra!

Czas na żołnierza.

(Kieruje się ku drzwiom od ulicy. Nagle na progu wstrzymuje go dłoń, spowiniętego czarnym płaszczem.

Nieznany:

Strój!

Don Miguel:

Nie znam tego całowika, a drzwi były zamknięte,
Nie mógł przeskoczyć przez mur.

Nieznany:

Wstałeś dziś wcześniej niż zazwyczaj Manaro,
zapaliłeś swą lampkę i modliłeś się,
a teraz chcesz przyłożyć już po raz ostatni
rękę do swego dzieła.

Don Miguel:

Zapewne jeszcze śnię, a jednak głos poznaję,
i przypominam słowa.

Kiedy ja to słyszałem?

Tak dawno — bardzo dawno.

Ale tracimy czas! Dalej! Odwagi, serce! I wy
stare stopy moje, — naprzód!

Nieznany:

Stój!

Zadługo trwała gra, i wszystko już miało swój
czas.

Nie poniesiem już tego chleba biednym dzieciom,
ani miseczek nowej ślepemu skrzypkowi Pawłowi
Perez — tak.

Wszystko miało już swój czas, Manaro!

Jest czas młodości, jest czas starości, a potem
przychodzi — śmierć.

Tak powiada duch ziemi.

Don Miguel:

Zasłona spada na oczy, stopy zagłębiają się
w piasek,
pięś ściska się, lęk chwyta za gardło.

Duch ziemi:

Jam jest duch ziemi. Bacz!

Na ustach masz imię widma. Ja jeden — jestem.
Jestem, zaprawdę, przez umysł i serce człowieka.
Patrz na mnie: oto ma forma prawdziwa, —
otom Pan. Otom książę wszelkich władstw tej
ziemi.

Uczcij mnie!

(Uchyła płaszcza).

Don Miguel:

O, straszliwe oblicze!

O, smutne oblicze!...

Duch ziemi:

Jam jest, który jest. Jam jest serce ziemi. Re-
szta to zryd.

Jak piękny złodziej ściska w ramionach nierząd-
nicę,

tak ja gorąco ziemię przytulam do łona.

Słuchaj, jak ziemia, szerokołona dziewczka, drwi
z was, łowców widm, wklepanych sprawiedliwości
zwierniadeł.

Słuchaj! słuchaj, co szepce w kosmate ucho ko-
chanka:

„Co oni wiedzą ze mnie, ci, — rzezańcy. Drogo

każę im płacić za rozkosz mej woni.

Ty! tyś jest mym kochankiem. Obelga twe usta
okrasza!

twą rękę o włosiu ruchliwem czuję na mej gło-
wie gorącą...

Dam ci dzieci królewskie, które kochać będą
złoto i opar krwi.

Dam im czoła niskie, jak twoje, mój kochanku!
i ręce wielkie i szerokie, liżące usta, mój kochanku!
a twarz ich będzie gorąca a blade, jak piorun.
I od pierwszego dnia szukać będą rozkoszy w eu-
dzym bólu.“

— Tak mówi ziemia do swego pana i kochanka:

„Naszej dziecinie uczynim łożę purpurowe, a jej
piersi

będą przyzywać przechodnia, jak dwa źródła,
jak dwie fontanny otwarte,

i córka nasza będzie piękna, jako granat, roz-
pękły upadkiem,

i rzeknie, — że wszak miłość nie może być
grzechem.

Twoja pieczęć królewska prześwieci jej oblicze,
całowane płomieniem, co mija i znika.

Język jej będzie wówczas, jak łeb płasającej gadziny,
a cień godzin rozkoszy padnie na jej oblicze
jak na słoneczny zegar, — aż się stanie
jej twarz, — jako jej łono.

a wtedy ty nakryjesz ją twym płaszczem —
i — zapłodnisz.“

Tak mówi ziemia do swego kochanka i pana:

„Synowie odziani będą żelazem, a córki świecić
będą od wonności,

i złoto zadźwięczy na stołach, a łona oddadzą
się temu, kto da więcej

Ktobądź będzie miał serce ciche, — a popatrzy
we mnie,

stanie się jako czerw pod odłamek glazu:

popatrzy na swą matkę i rzeknie: czuję zdradę!
a gdy zapagnie spać, to nie ośmieli się nawet
zasnąć na piersi małżonki, bo tędy też przeszła
zdrada

(a próżno ludzie drwią: zdrada daje any gorzkie
jak jad).

I człowiek przywoła swą córkę, ale usta jej uj-
rzawczy — spuści głowę.“

Tak mówi ziemia do swego kochanka i pana:

„Człowiek przekaze dziedzictwo swe gruzom i po-
krzywom
w miejscu, którego nie zna jego brat płomiennie-
oki...

I kłamstwo będzie na wszystkich ustach, a tajna
żądza śmierci we wszystkich sercach.

Najsiłniejszy i najzarłoczniejszy z synów naszych
królem ostatnie,

a najelabzsy i najpodstępniejszy — kapłanem;

A na górze pokuszeń raz do roku

ty techniesz na tajny ogień przez usta krateru,

a to, co miało pływać, biegać będzie, jako leśny
stwór

a to, co miało pełzać, pofrunie, jak ogień,

a robactwo ze ścian zdradzi nam tajne myśli
człowieka."

Tak mówi ziemia książęciu wszystkich władztw
ziemi.

Manaro, wstań! Wiesz dobrze, że do mnie na-
leżysz.

Nie oddałś mi dani najdroższej, — całej poezji
młodości twej Manaro?!

Don Miguel: (wznosząc dłonie w niebo).

Jestem wędrowcem na ziemi. Nie kryj przede-
mną przykazań Twoich!
(Ps. CXIX. 19.)

Nie oddalaj się odemnie, bowiem zguba jest przy
mnie, a nie masz ktoby mię zratował.
(XII. 11.)

Dusza moja jest przywiązana do prochu, daj mi
zmarłychwstać wedle słowa Twego.
(CXIX. 25.)

Naucz mię rozumu i świadomości, bowiem wie-
rzyłem przykazaniu Twemu.
(CXIX. 66.)

Wysłuchaj wołania mego, bowiem wielce zwa-
żałam jestem.
(CXLI. 6.)

Wybaw mię z miejsca uwięzienia mego.
(CXLI. 7.)

(Zjawisko znika).

Duch niebios:

Miguelu! Miguelu!

Don Miguel:

Otom jest.

(Bardzo długa cisza. Jaszczurka przybiega grzać się na kamie-
niu obok zmarłego. Małe drzewczki z klasztoru otwierają się
z wolna. Wchodzi brat ogrodnik. To pierwszy zakonnik z V.
obrazu. Idzie drobnymi krokami, patrząc w ziemię. Doszedłszy
do trupa Miguela zatrzymuje się bez najmniejszego zdziwienia)

Brat ogrodnik:

Bracie Miguelu! bracie Miguelu! Śpicie?

(Dotyka go lekko. Cisza. Mówi krótką modlitwę i czyni sze-
roki znak krzyża na wszystkie strony świata).

A teraz jestem sam.

Jestem sam pośród żywych, jako gałąź sucha,
strasząca szelestem swym w wieczornym wietrze.
Lecz serce mam radosne, jak gniazdo, co wspo-
mina,

i jak ziemia, co czeka pod śniegiem.

A to przeto, iż wiem, że wszystkie rzeczy są
jako muszą być i idą,
jako musiały iść, —
do kresu, znaczonego Mądrością tą, która
(Bogu niech chwała będzie)
nie jest naszą.

(Patrzy długo w spokojną twarz don Miguela).

Oto twój brat, Magdaleno!

Oto twój brat, Tereso!

Na chwałę Chrystusową
amen.

KONIEC.



JABŁUSZKO D'ANIS

CZYLI

DZIEJE UŁOMNEGO DZIEWCZĘCIA

FRANCIS JAMMES
TŁOM. HALINA OSTROWSKA.

(C. D. N.)

III.

— Oj! kochana, nie mogę się zdecydować na wstanie...

Tak mówi Lucja do Jabłuszka, która przyjechała spędzić trzy dni we dworze d'Atehuria'ów. Leżą w jednym pokoju, Lucja w różowym łóżku, Jabłuszko w białym.

... Mówiąc to, Lucja wyskakuje i biegnie ze śmiechem, aby jak mówi, rozprostować nogi... nogi krągłe i smagłe, przecięte cienką krótką koszulką. Ziewa, wchodzi na fotel, gdzie na jednej nodze stara się utrzymać równowagę. I nagle, myśląc, że ta giętkość mogłaby zasmucić przyjaciółkę:

— Kochanie, jeśli chcesz, pomogę ci wstać?

Przybliża się do Jabłuszka, bierze ją ostrożnie pod ramiona. I Jabłuszko ześlizguje się, jak związający się powój.

— No! Już dobrze. Dziękuję. Proszę cię, podaj mi pończochy.

Ten sierpniowy poranek jest cały błękitny. Można go porównać do otchłani spokojnych wód, bijących listwami o wybrzeża, — gdyż od stóp tarasu aż do rozwijającej się linii szaro-błękitnych skał, mroczny ocean lasów faluje. Oto cały szereg gęstych zielonych fal w perłowo-białej zatoce. Gdzieś niedaleko, podobnie jak na pełnym morzu między wzniesionymi falami tworzą się długie pasy cichej wody, rozciągają się łąki. W pewnym punkcie blyszczy potok. Niebo się weń sączy skroś dwie olchy.

Dalej pnie się droga, wśród rzędu topól przegiętych jak pióra, wszystkie w jedną stronę, gdyż dmie niewyczuwalny wiatr; droga w bładych pożarach pól ornych, żyta i maków; droga to, która na starym obrazku wiedzie do kraju zwolnionego żołnierza, co wita dłonią dym rodzinnej chaty.

Lucja i Jabłuszko idą tą właśnie drogą. Jabłuszko ma na głowie małą czapkę, z pod której ulatują słoneczne promienie jej włosów, a Lucja wielki złoty kapelusz, niby szalony mak, pod którym falują dwa mroczne pasma włosów nocy letniej. Jabłuszko ma szarą suknię surowo spiętą pod szyję kameą, ofiarowaną jej przez wujka Toma, a przedstawiającą serce, ulatujące przed psem na uwięzi. Lucja jest w białej muslinowej, ledwie wyciętej sukni, a cień tajemniczy młodych piersi pogłębia się odbłaskiem srebrnego łańcucha.

Otwierają furtę i wchodzi do sadu, gdzie zasiadają obie.

— Wiesz, kochana, — mówi Lucja do Jabłuszka, — czuję cię całkiem...

— I jakże?

— Nie wiem... Zdaje mi się, że mam ochotę na coś, czego nie wiem...

— Na co, kochanie?

— To nie ochota... Jestem rozdrażniona, gdy się budzę...

I nagle pod słonecznikami chórem płaczą białe indyki.

— Masz łzy w oczach Lucjo... byłaś taka wesoła przed chwilą.

— To zapach magnolii mi zaszkodził.

— Czy tylko zapach magnolii, moja najdroższa?... Z dachu fermy w uroczystej, upalnej ciszy słychać stukot dziobów gołębic.

— Lucjo, powiedz mi?

— O! Jabłuszko...

— Kochasz go?

—

Od szpaleru porzeczek, w złotym odbłyску szyb inspektowych krzyżują się roje pszczół.

— O! dawna już?

— O! tak...

— Czy wie o tem?

— Musi wiedzieć...

— Skąd wie?

— O, moja droga...

— Skąd wie, powiedz mi?

— O? Pozwól, to tak dobrze wypłakać się na twoich kolanach... Powiedz, nie krzywdzę, tych twoich drogich kolan.

I znowu pod słonecznikami białe indyki chórem płaczą.

— Ale widzisz, Jabłuszko złote, robię sobie wielki wyrzut...

— Jaki, moja najdroższa?

— ... który trapi mnie we dnie i nocy... który mnie budzi przed świtem... i który każe mi teraz tak płakać...

—

— Łkam się, czy ty nie kochasz Juaneza...

Żabka drzewna skrzeczy. Tam, nad wzgórzem pociemniałem nagle, deszcz pada. Tęcza wstaje nad lasem.

— . . . Nie...

— Nie?

— Nie... Nie kocham Juanneza.

— Ach! Jakżem szczęśliwa!...

I znówu pod słonecznikami białe indyki płaczą chórem.

Ciężkie krople wonnego i ciepłego deszczu, schnące szybko, padają na ganek dworu d'Atehuria'ów, właśnie w chwili, gdy Jabłuszko i Lucja wstępują na stopnie.

— Moje dzieci, oznajmia im pan d'Atehuria, stojący przed drzwiami, będziecie rade, gdyż wasza przyjaciółka Mariquita i jej brat Juannez przybyli zaprosić nas na obiad. Są w salonie. Idziecie?

— Za chwilęczkę, tatusiu, mówi Lucja... Wstąpimy tylko do siebie i zaraz schodzimy.

Obiedwie wstępują na schody lśniące i skrzypiące suchością starego drzewa; wchodzą do pokoju. Czarująca świeżość ich postaci odziewa się w tę biel tajemniczą, co upadabnia dziewczęce sypialnie do plastrów dziewiczego wosku. Już oto są gotowe do zejścia.

— Ach, jakaś ty rozpromieniona, Lucjo, poważnie mówi Jabłuszko, i jakaś piękna...

— Ty bardziej odemnie... wiesz dobrze o tem, odpowiada czarnowłose, złote dziecko.

A Jabłuszko z lekkim drżeniem w głosie:

— Podtrzymaj mię trochę, kochana... Poczekaj... bo do zejścia... potrzeba mi poręczy i twojej ręki...

Wchodzą do salonu.

— Mariquita, co za radość!

— Lucja!

— Jabłuszko!

— Dzień dobry... dzień dobry, panie Juanneze!

— Dzień dobry paniom.

W głębokim fotelu o obiciu w błękitne wyblakłe kwiaty, Jabłuszko, zasiada. Wydaje się zmęczoną, ale trudno wydawać się zmęczoną z większym wdziękiem. Śmiesznie mała rączka opiera się na kaczce główce łaski z hebanu. Nawpół wyciągnięta postać opuszcza się bezwładnie. Ale głowa pozostaje dumnie wzniesiona; usta są tak drobne, że, by usprawiedliwić ich trochę wyzywającą wąskość, trzeba blasku tego uśmiechu, jaśniejącego dobrocią. A fiolkowo szare spojrzenie dziewczyny posiada już tę królewską powagę, którą dają cierpienie i rezygnacja, połączone z rasą.

I nagle słychać radosny okrzyk. To wuj Tom! Jaka niespodzianka!

Dzielny wuj Tom przyszedł, niosąc na ramieniu pudło na rośliny, jak tornister, koloru świeżej trawy. Klania się, mając w ręku bukiet szafirowych genjann i różowych wrzósów, który wręcza pani d'Atehuria.

— Ach, dziękuję panu, panie des Arbaillies... Lucjo? Włóż je do wody... Są całe w perłach...

Piętaszek, który przyszedł ze swym panem, obwachuje fotele, kładzie swe pocziwe, brudne łapy na kolana Mariquicie, o mało czegoś nie zrzuca zamachem ogona, poznaje Jabłuszko, nadstawia uszy, szczerka, dostaje lekkie kopnięcie od wuja Toma, wreszcie usiłuje wpakować się gwałtem pod jakiś mebel, którego zbyt niskie nogi bezwarunkowo na to nie pozwalają.

Pan d'Atehuria pyta:

— Czy rad pan z dzisiejszego zbioru, panie des Arbaillies?

— Ranek dzisiejszy święciłem raczej lenistwu przechadzki, niż czarowi botaniki... Siadłem wśród niebieskich i różowych dzwonków, z których zrobiłem te wiązanki i przyglądałem się wiewiórkom.

Wchodzą do sali jadalnej. Panuje tu chłód. Pieczone kuropatwy są wyśmienite. Staroświeckie półmiski kredensów rozweselają swą jaskrawą barwnością. Jakże ładne są te żółte i liljowe tulipany, przypominające Bóg wie jakie ogrody przeszłości. Jakże śmieszne te błękitne, długonogie, uwieńczone kitami ptaki. Rzekłbyś, że na swoich fajansach przebiegają one murawę trawników perskich, gdzie wieje zefir tak gładzący, że wypolerował im pióra.

— Już od tak dawna, panie des Arbaillies, wdycha pani d'Atehuria, Jabłuszko nie opowiadała Lucji ślicznych bajek pańskich...

Bo wuj Tom, jak wiadomo, jest niekiedy poetą. I układa bajki o rzeczach natury, zwierzętach, kwiatkach, kamieniach. Piszę je na jakichś postojach leśnych. Lubi samotność i miejsca smętne, gdzie słychać tylko pluskanie źródełka, nieustanny szmer strugi sączącej się w wodorostach. Ale wuj Tom droży się zawsze ze swemi bajkami, chociaż kilka ogłosił drukiem i to ku wielkiemu ich rozgłosowi. Jabłuszko szaleje za tą poezją, którą znajduje niekiedy w zielonem pudle wuja, pod paprociami i mchem. Nie zna nic piękniejszego od tych wierszy, które niekiedy są prozą. Do dworu d'Anis'ów przychodzą często obcy ludzie, którzy ze wzruszeniem mówią o wuju Tomie: Pan jesteś wielkim poetą... Albert Samain poglądził ją raz po twarzy, gdy była jeszcze małą dziewczynką... Wyglądał, jak łabędź... Może ten poemat, który czytał pewnego wieczoru przy kominku był jego śpiewem łabędzim... Łabędzie śpiewają przed śmiercią...

Tak, Jabłuszko wierzy, Jabłuszko wie, że wuj Tom jest człowiekiem niezwykłym, mimo że lubi się postarać, że nosi złote okulary, że zdaje się troszczyć o opinie ludzi i że przekomarza się z ciotką Wirginią.

To też po skończonem śniadaniu Jabłuszko skrada się by przetrząsnąć czarodziejские pudło, aż wydobywa zeń z pod wonnych ziół strzęp zabazgranego papieru, który wznosi tryumfalnie, wchodząc do salonu.

— Oto nowa bajka wuja Toma!

Ale autor, zapalający właśnie fajkę, miesza się i rumieni.

— Zostaw... mała... kiedy indziej...

Ale Jabłuszko, która już przeczytała, szybko, po cichu odpowiada:

— Wuju Tomie, czuję, że się boisz, że mnie zasnuć to czytanie... Wuju Tomie, czemu nie chcesz, bym przeczytała głośno tę bajkę, taką przecie piękną... Byłoby bardzo źle pozabawiać innych tej radości... I czy myślisz, że to...

I zanim wuj Tom zdążył postawić silniejszy opór, Jabłuszko czyta głosem tak czystym, jak głos źródelka, koło którego był napisany ten poemacik, ułożony zapewne wraz z porannym bukietem.

POETA.

Poza lasem odgiętym przez wiatr, poza łożyskiem strumienia i wąwozem i parkiem, przez który przeszła niegdyś z nagiemi ramionami pod śnieżną zamiecią dziś dawno zmarła, łajana wówczas, że opuściła bal pokryjomu... Dokąd odeszła? Gdzie jest.

Poza kwietnikiem, gdzie puszą się kiście kwiatów różowych i smutnych, jak zaświatowe bzy, poza ogrodem warzywnym, gdzie bronią wstępu pawim złoistym, zerwałem tę gencjanę, barwy szafiru wśród wrzosów, i zerwałem ten wrzos, barwy różanego słońca obok gencjanny. O, kwiaty, czym jesteście? Czem wasza treść? Czem to potwierdzenie z was, co mnie przeraża?

GENCYANNA.

Goryczą li jestem w szacie błękitnej, upodobałam rozpacz. Jak ty, lubię podmuch południowego wiatru w brzozać i plusk potoku. Jak ty, przepalam goryczą, cokolwiek przybliży się ku mnie, a myśliwy, gdy pije z kapiącego mię źródła, czuje tyleż goryczy, ile czułybyś jej ty, gdybyś pił w źródle, co zamknęło odbicie dalekiej od ciebie. Mówiłeś o dziewczynie z czasów dawnych, co w śnieżny wieczór opuściła bal, aby czekać na miłość?

Siadła w zeschłej altanie i zbudziła gila. Ale narzeczony nie przyszedł na spotkanie i serce dziewczyny napęliło się goryczą, jak moje. I odtąd sta-

łam się kwiatem, który zrywała najchętniej, gdy bezsilna i zniechęcona życiem, szukała w kształcie mego kielicha wspomnienia swej sukni balowej, a na wargach mych płatków goryczy własnych warg.

WRZOS.

Samotnością li jestem w szacie różowej. Zabłąkałam się jeno do tej doliny, kędy szukała mię gencjanna, albowiem gorycz ukaja się samotnością. Ale królestwem mojem jest puste wzgórze piaszczyste i nie użalam się tam na opuszczenie moje. Niekiedy z dworu, gdzie widzisz ten błyszczący staw, przychodzi aż tu ku mnie dziewczę, jak ja różowo odziane i pełne wdzięku. Ktoby je ujrzał, siedzące wśród mych kęp nie pojąłby, co skłania je tak ku samotności. Niestety! To dziewczę przy całym wdzięku swym jest ułomne, jak ja, jak moje delikatne kwiaty wykwitające z karłowatego pnia.

A że to czytanie wzruszyło trochę, choć i zachwyciło:

— Prawda wuju Tomie, pyta Jabłuszko, prawda, że ja to jestem trochę... wrzos?

A wuj Tom odpowiada:

— Tak moje dziecko, dla twej różowej, światłej cery jesteś wrzosem i jesteś nim jeszcze, bo osładzasz starokawalerską samotność... Ale w tem tylko... Bo gdybym ci miał znaleźć brata pośród kwiatów...

— To byłby nim?

— Szary fiołek, tak skromny, że go wykryjesz dopiero, gdy południowy wiatr przyniesie ci jego zapach.

— A Lucja?

— Co Lucja?

— Jaki jest kwiat Lucji?

— A kwiat Lucji, — odpowiada z uśmiechem wuj Tom, — nie byłby wcale kwiatem... Albo raczej ten kwiat byłby grzybem...

— Grzybem! Jakim? Jakim?

— Surojadką... Bo mówią, że surojadki w drzących oparach nocnych tańczą tańce. Przychoǳą z leśnych stoków na polany. bażancie, strojne prymulkami. I tutaj wiodą płąsy tak wdzięczne, że żal im się rozproszyc i jutrznia zastaje je jeszcze w korowodach... Lucja jest królową tańca.

— O, wuju Tomie... Jakie to śliczne, co ty opowiadasz... A kwiat Mariquity?

— To kwiat czerwonej koniczyzny...

— Jakto?

— Mówią, że koniczyzna śpiewa... śpiewa tak słodko, że ludzie jej dosłyszeć nie mogą, ale zwierzęta i rzeczy skupiają się w zasluchaniu... co powołuje wielką ciszę południa.

— Ależ, panie des Arbailles, — mówi Juannez — to rozkosz słuchać pańskiego wykładu o botanice...

— O tej botanice — dodaje pan d'Atehuria, której jest królem.

— A więc — pyta pani d'Atehuria, — jeśli pan Tom jest królem kwiatów, któż jest ich królową?

— Zgadłam! — woła Jabłuszko. — Królowa łąk — Spireja!

I tak na tej lekkiej, uroczej zabawie schodzi czas bez mała do podwieczorku. Wuj Tom proponuje:

— A gdybyście zanieśli kosze do lasu? Idę niedaleko... poprostu zerwać jakąś parnasję i odwiedzić rosiczki. To o dwa kroki... Idziecie ze mną dzieci?

— Idźcie... Ja zostanę — mówi Jabłuszko.

— Aha, jeszcze czego! Dla czegoż to?

— Nie chcę wam przeszkadzać... Musielibyście iść zbyt wolno.

— Dobra sobie!.. A, brzydkie Jabłuszko, co każe się prosić.

Jabłuszko z melancholią wstaje. Jej prawe ramię podnosi się nieco, gdyż ręką waparla się na ozdobnej lasce. Jest zachwycająca. Czemuż nieśmiałość zdaje się jeszcze swym smętkiem przysparzać czaru wdziękowi? Czyżby współczucie i litość miało w nas budzić to dziecko? Och! nie. Ten blask zębów w uśmiechu, to blade srebro wzniesionej szyi inne z pewnością uczucia poruszają w tym, co jak Juannez obecnie czuje na sobie głębokie spojrzenie jej szarej źrenicy. Jabłuszko wkłada czapeczkę na popielate włosy i poprawia na staniku medaljon, gdzie pod kryształem w złocie złoci się płatek zło- tego laku.

(D. N.)



Drzeworyt oryg. — Wł. Skalaś.

RAZ TYLKO WIDZIAŁEM ŚLAD LUDZKIEJ STOPY...

Raz tylko widziałem ślad ludzkiej stopy... Żółta płaszczyna piasku. Błękitnego kręgu okolenie. Dalej — fioletu toń. Zaginione w toni gdzieś pochodzenie wędrownej stopy, która znaczyła ślad na miękkiej płaszczynie żółtego piasku.

Ślad lekkiego wiatru podmuchem złagodzony, ledwie widzialny, znikomy, o brzegach nierysujących się znacznie, przysypanych nieco żółtego piasku pyłem. Daleki ślad stopy wędrownej po przez gładką piasku płaszczynę.

Południa sen. Błękitnego kręgu okolenie. Fioletu toń.

Ziemia indigo.

Miękki chłód o nieśmiałym połysku rosy.

Na wilgotnej ziemi bucik znaczy się ostrem kształtu swego rysunkiem. „Piękna stopa młodej kobiety” — czytam z przyciśnięcia powolnej ziemi wilgotnej płaszczyny. Stąpnięcie każde, najmniejsze drgnienie młodego ciała znaczy, jako że bieży tam, gdzie pragnie tęsknota z toni fioletu spłoszonej duszy.

Młoda stopy kobiety.

Znaki — acz rysowane wyraźnie na ziemi, zrazu niepewność stopy zdradzają, potem równomierniejsze się stają i bardziej panujące nad ziemią.

Po-przez indigo ziemi wilgotnej znaczy się daleki ślad.

Samotny ślad, tęskny ślad.

Smutnego wieczoru sen.

Słowika samotny dźwięk, bez wtóru i bez echa.

Ciszy sen...

Gruba świeżej zieleni rozpostarta płachta.

Łąki woń. Słaby wonnej trawy szmer. Schowanego skoczka urywany głos.

Ledwie dostrzegalne bucika dotknięcia, jeno rosy puch strzepany, jeno lekkie trawy odchylenie, iżby znów rosa powolnym listkom osiadła na usta.

Giętkiej stopy dotknięcie ledwie znaczy drogę niewiadomą.

Wreszcie — kędy dotyka zieleni rozpostartej płachty krawędź czarnej lasu smugi — z ubocza rubaszne racie ślady ku drobnym stopom się znaczą i już jej śladem idą ostre, spieszne, uparte, gwałtowne, iż stratowana jest trawa, a ziemi czarna wyszarpięta rana, gdzie stąpnął leśnego Pana chód niepostrzeżony.

Czułego łakomca kraszy płci niezawodny ślad.

W głębokim mchu i w cieniu rozłożystej paproci zginęły ślady oba — zginęły we mchu, w gęstwinie, w cieniu nocy.

Rozkołysanych gałęzi szum — a potem lasu śpiew ponury.

Rozeszłana szeroko niewiadoma płaszczyna w nieodgadnionej szerokości i dali złudnej.

Nieskalana niczem, krom dotknięcia ludzkiej stopy daleka płaszczyna.

Dotknięcia nie ma; jest dotknięcia przypomnienie.

Przypomnieniem zaś płaszczyna kołysana; kołysaniem śniąca — snem żywa. Oto dotknięcie stopy, którą raz jeden widziałem w życiu, raz jeden w mnogich żyć łańcuchu.

Jedno żywej stopy dotknięcie. Nieskończony pochodu znak, nieustający znak, wieczny znak... A szeroka płaszczyna niczem nieskalana i niczem wiadoma.

I już stopa znaczy lekkie powietrza kołysanie, już tylko o promień potrąca i tchnieniem modlitwy, stopniami nieodgadnionego fioletu, w jasne wzbija się przezrocze i ginie oczom mym, ginie przypomnieniu, ginie westchnieniu.

Porannej zorzy sen. Ognia okolenie. Białości toń...

Raz tylko widziałem ślad ludzkiej stopy.

JERZY HULEWICZ

GODY JESIENNE

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ.

SZÓSTEJ CZĘŚCI ŚWIATA

DOK.

(PARS SECUNDA)

— Dlatego będzie modlić się do ciebie wszelki święty czasu pogodnego. Powtórzył sobie w myśli te słowa, otwierając naścieżaj okno — wzrok jego padł naprzeciwko, gdzie w sztachetach ogrodu warzywnego i oranżerii była mała zakratowana furka. Stał tam Krystyn. W rękę oburącz trzymał czapkę pełną jakichś zielonawych owoców, brzoskwiń chyba; stanął, pochylił się i obejrzał w obie strony, potem krokiem chybkim i giętkim, wzdłuż parkanu udał się w głąb parku. Stefan również giętko przemierzył wszystkie pokoje, werandę i podążył jego śladami. Napróżno. Krystyna nie dognał. Zresztą zaszedłszy ścieżkami w gąszcza rozmarzył się; gdzieś na ławce usiadł, gdzieś się pogapił na maleńki klonik, który jak karzelek wyglądał, zupełnie już bowiem poczerwieniał i, jak rak szczypcami, przebieierał liśćmi; gdzieś zgiął gałąź leszczynową i zerwał pięciorakie gniazdko orzechów; bronzowe już, smagłe, jak młode dziewczęta, zostały mu w rękę. Przypatrywał się im z lubością, nim rozdzawił z chrupotem zdrowemi zębami.

Trawa była dziwnie zielona; gdzieś pod parkanem przydrożnym gazonik niewielki necił go zielenią soczystą, jakiej nie ma wiosna; astry zabłąkane tu ręką ogrodniczka rozrosły się dziwnie i kwitły; proste pojedyncze, fioletowe i malinowe astry ze złotemi oczami. Spoczął tu Stefan podłóżwszy ręce pod głowę; palcami czuł jedwab swych włosów zmieszany z miękkimi pasmami trawy i myśląc znowu o ciotce, pieścił jedne i drugie musnięciami łagodnymi, jak uśmiechnięte nad nim niebo. Przez nachylone drzewa i przez drewniane, zczerniałe na podmurowaniu kraty sztachet widział cieniem do pół zakrytą wąską boczną drogę, ciągnącą się między parkiem, a okopaną lewą; kalina błyszczała po tamtej stronie drogi i jasne plamy świetlistych polan, które dawały wrażenia niekończącej słonecznej dali.

Ujrzał, jak drogą pod sztachetą, szła Hania. Zwolna w zwykłej swej białej płóciennej sukni z chustką spuszczoną na płeć; profil jej zarysował się na jednej z polanek słonecznie oświetlonych; przeszła, a w pół otwartych wargach jej drgał niby szept: — modli się do Ciebie wszelki święty czasu pogody. — A pogoda uśmiechała się woniając.

Po czasie niejaki wstał i poszedł wzdłuż sztachet; ujrzał ich w miejscu najniższym, z kądem droga zaczynała się już podnosić. Hania stała na podmu-

rowaniu z tamtej, a Krystyn z tej strony; jedli brzoskwinie i śmiali się. Słońce paliło się na kosach Hani, a Stefanowi zdawało się, że miała w oczach ów zmatowiony błysk. Lecz niechybnie była to imaginacja, gdyż zbyt daleko stał od nich.

Krystyn trzymał Hanię za rękę. W pewnej chwili, gdy miała w ustach brzoskwinie, dość brutalnie przyciągnął ją ku sobie i rozgniół razem brzoskwinie i pełne usta Hani w ciężkim pocałunku.

VI.

Od paru dni Stefan nie widział ojca Wasylego, więc się skierował ku jego mieszkaniu w pewne południe. Jednakże samego popa w domu nie było — wyjechał za jakimiś interesami do miasteczka, natomiast zastał długowłosego młodzieńca, brata Hani Wissarjona, lub krócej Arjona, który w dzień ów zrana przybył piechotą z Kijowa.

Siedząc na ławie w izbie rozmawiali sobie o ostatnich zdarzeniach, o Kijowie, o jego świątyniach; przeszli na akademję, a potem na literaturę. Hania wchodziła, wychodziła, siadała na chwilę, a potem znowu wysuwała się, zawsze spokojna; lub stała na progu, uśmiechając się nieznacznie i skrycie. Stefan przez cały czas rozmowy z Wissarjonem, który się coraz bardziej, mówiąc o dekabrystach, zapalał, czuł ten wzrok i uśmiech zamknięty, a gorzkie jądro, jak migdał, chowający w sobie; czuł go obok siebie i na sobie.

Niedawno na folwarku wpadły mu w uszy słowa nieprzychylnie Hani; słyszał, że popadajanka ma sławę dwuznaczną lekarki, znającej różne zamawiania, omal nie czary. Niektórzy nawet zdecydowanie mieli ją za wiedźmę.

Włosy miała dziś w dwa warkoczki spuszczone, jak węże zlewające się w dół i obciążające głowę; patrzyła na niego spokojnie, ale uparcie, gdy Arjon znikł na chwilę.

— Wissarjon bardzo uczony — powiedziała głosem równym i głębokim — prawda?

— Tak, rzeczywiście dużo posiada wiadomości, dużo czytuje.

— Mówił o Puszkynie, i o Mickiewiczu, i o Ryl-jewiew i jeszcze tam o kim?

— O Hoholu, który opiewa Ukrainę.

— Aha, tak. On bardzo uczony i dużo czyta. I ja też czytam dużo. Ale o jednym nic nie powiedział — patrzyła wciąż prosto na Stefana.

— O którym?

Uśmiech twardy i słodki, jak czereśnia, zawisł na jej ustach, gdy zobaczyła zdziwienie Stefana. Podeszła bliżej. Usiadła i podnosząc rękę do poprawienia kos, powiedziała łagodnie.

— O pańskim przyjacielu. Wszak pan o nim opowiadał. I pisał pan z podróży?

— Nie przypominam sobie, abym o nim pisał. A zresztą...

— Zresztą karta mi dzisiaj o panu dużo rzeczy powiedziała.

— Czy pani wróży?

— I owszem wróżę. Otrzyma pan list od tego przyjaciela.

Przysunęła bliżej talerze owoców i konfitury stojące na stole:

— Jiżte, panyczu — powiedziała z uśmiechem pokornym, jak dziewczka.

Gama uśmiechów Hani zastanowiła Stefana. Różne były, a wszystkie na dnie miały słodycz, chyba słodczkę, tak iż w końcu zostawiały dziwną czczość, a oczy miały zawsze ironię i błyski niespokojne.

Stefan zatrzymał się przez chwilę w zaczętem zdaniu i nie mógł go już skończyć; patrzył wciąż na Hanię, a ona na niego.

— Jak się miewa Krystyn, spytała leniwie.

A on się znowu głęboko zdziwił, myślał bowiem w tej chwili o bracie.

— I owszem, nieźle.

Wstał i poszedł do okna; wychylił się, aby zobaczyć, czy zajechały już konie, które miał po niego przysłać brat. Usłyszał za sobą dwa kocie kroki; potem miękkie dotknięcie ręki na głowie, pieściwe palce zaplatane we włosy obiegły szybkim ruchem szyję otwartą, otoczoną bajronowskim kołnierzem; ręka ta zajrzała w rozcięcie przednie kołnierza i lekkiem muśnięciem podrażniła skórę, potem nim się odwrócić zdołał, uczył mocne przyciśnięcie obu rąk do szyi i puch włosów przytulony do karku.

— Panno Haniu!

A popadanka odstąpiła w głąb pokoju i poczęła się śmiać, parszając jak kot.

— Panie Stefanie! Pan się przestraszył?

VII.

Stefan zabrał Hanię i Wissarjona do swego powozu, kazał służbie poprosić ojca Wasylego, gdy przyjedzie, aby przybył również, i pojechali do pałacu na wieczór.

Słońce równo i spokojnie, zupełnie na różowo, oświeślało ściany chat i drzewa, chyląc się ku zachodowi. Światło było specjalne jesienne, upojnie inten-

sywne, soczyste, nie pozbawione jednak pewnego chłodu. Niebo zdawało się zmieszane z lazuru i barwy cytrynowej; zupełnie zaś już był żółtym cały zachód, gdy na werandzie miano siadać do wieczery. Białe obrus sztywnymi faldami opadał do samej ziemi na niskim szerokim stole i miał na sobie cienie zupełnie szafirowe; talerze i wysokie szklane kielichy błyszcząły chłodem, jak liście otaczającego werandę wina, na których poczęła osiadać rosa. Wielkie półmiski wyłożone zielonymi liśćmi klonów i winogron dźwigały stosy owoców; były jabłka żółte, czerwone i jabłka różowe; srebro połyskiwało na wielkiej środkowej paterze i na dwu lichtarzach, pełnych niepalących się jeszcze świec; brzoskwinie blade-zielone, jak kule mchu północnego, miały delikatną a przenikliwą woń; rozkrwawiony kawon czynił najeudniejszą płamę; był przejrzały i mięso wędnące już wydawało, rozlewając się w sok, woń osobliwą obcą innym owocom, wilgotną i nasycającą; stały butelki omszone i butelki przezryste, jak dziwne kontrasty, gdzie paliły się iskry w barwach win bursztynowych, kawowozłotych i całkiem osobliwych, na określenie których niema słów dokładnych; na wielkiej srebrnej paterze leżał chleb biały pośród całego stołu, a obok, lecz nieco niżej olbrzymi plaster miodu. Wieczorny jesienny chłód ubierał to wszystko w tony dziwne szaro-niebieskie, a dolny koniec stołu ocienionu najbardziej baldachimem pnący, całkiem tonął w szarości. Stał tam już Krystyn; ze zmarszczoną brwią, czekał na brata i gości.

Lokaje otworzyli szklane drzwi salonu; zdziwieni byli tym przepychem, który kazał rozwinąć Stefan w dniu tym dla takich codziennych i tak niewybranych gości, jakimi była od lat wielu rodzina popa Wasylego. Zbliżyli się mimowoli i uroczyście do biesiadnego stołu. Zamilkli na chwilę, gdyż ojciec Wasyli zatrzymał się na pierwszym miejscu, szeroko z pokłonem parę razy się przeżegnał, a potem podniósł ręce błogosławiąc chlebom, miodom i owocom. Gdy stał tak siwy, biały, poważny w faldach swojej togi z krzyżem błyszczącym na piersiach, nawet na ustach lokai wybiegł uśmiech, a Stefan naprawdę się wzruszył, sam nie wiedząc czego.

Od strony wjazdu rozległ się turkot. Poszóstna karetka osobliwego kształtu otoczyła gazon i przed gankiem stanęła. Wysiadł z niej człowiek dziwnie ubrany i po paru słowach zamienionych z kozakiem przedpokojowym skierował się ku werandzie. Zbliżył się ku całej gromadce, która już nań czekała i skłonił się przed Stefanem.

Był małego wzrostu, drobny o rysach ściągłych, bladych, niewyraźnych, a jednak zawierających w sobie wiele treści; był w pudrowanej peruce z harcapiem,

kaftan jego i spodnie z bładniebieskiej materii oblegały go tak ściśle i tak były pięknie skrojone, że ani jedna fałda, ani jedna zmarszczka nigdzie się nie tworzyła.

Powiedział głosem miłym i zrównoważonym:

— Czy widzę pana Stefana? Miło mi go poznać. Jestem markizem de Ribeaupierre. Przepraszam, że przeszkadzam państwu w wieczery, lecz sprowadza mnie tu sprawa, dla pana, panie Stefanie ważna, a dla mnie przyjemna.

Weszli na werandę. Nowoprzybytemu podano krzesło i nakrycie.

— Dla mnie jest przyjemnością, że mogę szanownemu ponu wyświadczyć tę przysługę — ciągnął markiz. — Przy okazji, ponieważ wiadano, że mam majątek niedaleko pana, przesłano mi list. Miano- wicie księżna de Survalliers, moja kuzynka...

— Pan jest krewnym Wielkiego? — spytał Wissarjon.

— Tak — spokojnie mówił markiz — moja kuzynka nadesłała ten pakiet od jednego z pańskich przyjaciół z Florencji. Skorzystałem z okazji, aby poznać pana i całą jego rodzinę.

Lokaje pozapalali już świece. Błękitnożółty blask rozspalał się po srebrze, talerzach i obrusie.

— Niestety, panie markizie, jestem bardzo samotny — odparł Stefan — z rodziny mam jedynie dwóch braci; starszy przebywa zagranicą, oto zaś jest mój młodszy — Krystyn.

— Aaa, więc to jest brat pana — otworzył face-a-main i przypatrzył się długo Krystynowi — bardzo godny młodzieniec, — dodał pd chwili i po- raz pierwszy uśmiech okrasił jego suche i zawarte wargi. A w uśmiechu tym było tyle dobroci, przebiegłości i ironji, że nawet Krystyn się zadziwił. A twarz markiza tak się od tego uśmiechu odmieniła, że niby nowy znów człowiek usiadł z nimi do stołu.

VIII.

Po kolacji Stefan oddał się do swego pokoju, aby przeczytać list otrzymany przez markiza, gdy tymczasem reszta gości przeszła do salonu. Krystyn pokazywał Hani i Wissarjonowi rzeczy, które Stefan przywiózł ze wschodu, a zaś markiz z ojcem Wasylem gwarzyli, siadłszy na wielkich fotelach po obu stronach wspaniałego świecznika.

— Powiadam ojcu — ciągnął zwolna, nieco zmanjerowanym, ale pięknym głosem markiz, — że prawdziwą satysfakcją była dla mnie ta droga. Pogoda cudowna, tembardziej, że jedzie się przez las, a w pewnem miejscu na mostku...

Ojciec Wasyli rozkraczył szeroko nogi odziane w proste bucidlą i złożywszy ręce na kolanach krzyknął szeroko.

— Tak — piękny czas nam posłany od Boga. Zawszeć to w jesieni dobrze jest sercu i przyjemnie. Obfitość wszelaka.

— Spotkałem — mówił markiz — dzieci jak biegły z gałęziami kaliny; tak to wyglądało prześlicznie. Owce pasą się i bydło na ścierni. Dymy ognisk się rozścielają w chłodnem już powietrzu. Mamy tu cudowne jesienie.

— Jako żywot chrześcijański. Kiedy życie nam całkowicie się wypełni, a zawsze z łaską bożą byto w zgodzie, to tak jest i z żywotem ludzkim. Skłania się ku końcowi i pelen jest obfitości. Składy dobrych uczynków na spichrzach, cnoty, jako miód wonieją po spiżarniach duchowych; spokojność taka w człowieku jest, jako w tym wieczorze. I czeka, jak jabłko, które już dojrzało, na chwilę kiedy spadnie.

Markiz nie odpowiadał przez chwilę.

— Na chwilę, kiedy spadnie — dopełnił w końcu — aby się dostać do spiżarni boskiej, do śpichrza niebieskiego, kędy gwiazdy niebieskie pochowane błyszczą.

— Aby być ujętym w ręce pańskie na życie dłuższe, niż ta wiosna i lato, co minęły jak z bicia — powiedział ojciec.

— Głęboki z was chrześcijanin, ojcie Wasyli — powiedział spokojnie markiz, przykładając szklą do oczu, aby obejrzeć się po komnacie, na Hanię, Wissarjona i Krystyną zerknąć. — Głęboki z was chrześcijanin, powtórzył; jednakże jabym sądził, że zachodzi tu nieporozumienie — uśmiechnął się — mówię tu naturalnie tylko o allegorji, o obrazie, który szanowny pan przytoczył, gdzieżbym mógł ogólniej to powiedzieć.

— Dlaczego, panie? — prosto i na ironiczny uśmiech markiza nie zwracając uwagi, powiedział pop, — przecie, co tu gadać, wiem, iż pan ani chrześcijaninem nie jesteś, ani wierzysz, więc może ci chodzi o ogólne chrześcijańskie nieporozumienie.

— Nie, nie, broń Boże — żywo zawołał markiz, składając ręce — chodzi mi jedynie o porównanie wasze, ojcie, jesieni do chrześcijańskiego żywota. Jestem przekonany, że niema bardziej pogańskiej pory roku. Jest właśnie tak gotowa, to dobrze pan powiedział, jak jabłko, które ma łada chwila spaść, przepelnione sokami swemi i przegnić. Lecz przypomina to raczej kobietę, która tak jest pełną życia i sił żywotnych, że tylko wiatru trzeba, aby ją utracić i aby opadła w ręce czyjeś, które ją przygarną do łona. Chodzi mi właśnie o to, aby tem porównaniem dać obraz piekielnie zmyślowy, głoszący

ipieszczący ciało, jakim jest jesień. Wszak prawda, panie Stefanie, — zwrócił się do wchodzącego gospodarza — że jesień jest najbardziej pogańską porą roku?

— Ależ, panie markizie — odparł Stefan — dlaczego pan nie kazał koniom odjechać do stajni? Gdzież można, abym puścił pana przed nocą do domu. Rozkażę, niech w tej chwili rozpręgna — już kazałem dla ciebie przygotować dwa pokoje na górze, które ci lokaj wskaże.

— Drogi gospodarzu, z chęciąbym został — prawil dworsko markiz — ale boję się, że się żona będzie niepokoić. Jest bowiem niezupełnie zdrową. Zresztą zostanę, lecz pod jednym warunkiem, który od wszystkich państwa zależy — od pani, panno Haniu, przedewszystkiem.

Hania zbliżyła się zwolna przez salon. Gdy tak szła z warkoczami przerzuconymi przez ramię ku przodowi, patrzyła na markiza wzrokiem przyzwyczajonym do widywania jego postaci tak, jakgdyby znali się już od wieków.

— Odemnie? panie markizie, coś nowego.

— Bynajmniej, chcę panią prosić o protekcję.

— Proszę, wysłucham pana. — Skinęła głową, siadając królewskim ruchem w fotelu.

Ojciec Wasyli, aż poczerwieniał z gniewu na niewłaściwe zachowanie się córki, ale ona popatrzyła na ojca i na Stefana i uśmiechnęła się radośnie.

— Ojciec i pan Stefan, dziwią się, że jestem taka śmiała z panem, panie markizie. Widzę to po ich oczach. Ale naprawdę oni nie wiedzą jaką jestem w istocie. Mam czasami chwile, kiedy jestem bardzo śmiała.

Nikt nie widział, że Krystyn wyszedł z pokoju.

— A więc, panie markizie, o cóż to chodzi, za interesował mnie pan ogromnie.

— Chodzi tu o to, aby pani wpłynęła na ojca i brata, aby zechcieli, wraz ze mną i panem Stefanem — mówiąc to ujął stojącego opodal Stefana pieśczośliwie i serdecznie za rękę — no i naturalnie wraz z panią; aby zechcieli się udać jutro wszyscy moimi końmi do mnie, aby spędzić dni parę w miłym towarzystwie.

— Ależ, panie markizie — rozpoczęła Hania...

— Pojutrze jest ostatni dzień lata. Zwykle dzień ten bardzo hucznie obchodzić festynem; w tym roku jednak z powodu niezupełnego zdrowia mej żony, muszę sobie tej przyjemności odmówić. Sądzę jednak, że nierównie przyjemniej spędzę dzień ten w towarzystwie państwa.

— Panie markizie — powiedział poważnie ojciec Wasyli — jakież to towarzystwo dla pana, albo dla pana żony w nas: pop, popadanka i młody seminar-

czuk. Niech pan zabiera pana Stefana, Krystyna i jedzie. A nas zostawcie w naszej chatynie.

Markiz zamilkł na chwilę i patrzył na ojca Wasyla przez szkła. Ten zmieszał się niepomieranie i chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Hania dopiero wstała z krzesła, podeszła z tyłu do ojca otoczyła mu szyję ramionami i przytuliwszy złotą głowę do białej strzchy powiedziała spokojnie.

— Ojcuzku, pan markizby nas nie prosił, gdyby nie chciał. A zresztą ojciec nie wie jakim jest pan markiz, może dla pana markiza nie istnieją takie przesady, o których ty powiadasz.

— A więc pojedziemy, panno Haniu? — spytał nowym, radosnym, pewnym siebie głosem Stefan, a markiz przeniósł na niego swe szkła tym razem z przemilnym uśmiechem.

— Ależ pojedziemy, panie Stefanie — i gestem już zupełnie salonowym i swojskim — wyciągnęła ku niemu rękę, którą ten uściakał serdecznie.

IX.

Karetą jechała Hania, ojciec Wasyli, Wissarjon i Krystyn, markiz ze Stefanem powozem i Lachowieckimi arabami: to też w połowie drogi wyszli wszyscy panowie ze swoich wehikułów, aby, gdy konie dla wytechnięcia zwolna iść miały, porozmawiać i przejść się trochę. Jedynie Hania w towarzystwie Krystyna pozostała w karecie. Droga właśnie szła wzgórzem, tak że na lewo ostawały się rzadkie dębowe porośla, gdzieniegdzie starym dębem uwiecznione, a na prawo grunt zaorany; droga była twarda ubita i od rzadkiego użytku trawą gdzieniegdzie porośla. Powóz naprzód pojechał, karetą szła przed idącymi tak, iż raz wraz ukazywała się im jej sylweta na tle bladezielonego po jesiennemu nieba. Markiz szedł z ojcem Wasylim, tuż za nimi, Wissarjon i Stefan.

— O czemże mówić będziemy — powiedział po chwili milczenia markiz, odwracając się z uśmiechem do tylnej pary — o jesieni, o muzyce, czy o miłości?

— Jabym pragnął o miłości — powiedział Arjon.

— Może o jesiennym muzyce miłości, lub o muzyce jesiennym miłości — prawda? temat dobrany do otoczenia.

— Chciałbym wiedzieć, coby mój syn powiedział o miłości — westchnął ojciec Wasyli. — Wszak to może rzecz najważniejsza tu na ziemi.

— Ojciec Wasyli, jest naprawdę bardzo kochanym człowiekiem. Co za tolerancja. Więc ojciec uznaje miłość?

— Panie markizie, ze starego człowieka grzech szydzić.



Рынок — Wl. Шоларск.

— Nie boję się grzechu — nietaktownie ciągnął markiz — ale mi chodzi o pogodzenie chrześcijanizmu ojca Wasyla z poglądem na miłość. Jakże to może być no nie?

Wissarjon zaś niezadowolony, że traci główną rolę w tej rozmowie dodał:

— Ojciec ma bardzo szczytne poglądy na miłość.

— A pan? — spytał go markiz.

— O ja też, chce pan to panu zaśpiewam cały hymn na cześć miłości.

— Ale której, — spytał markiz — tej miłości, poświęconej rozkoszy i kwiatom, ciężkiej i miodnej jak letnie powietrze, czy tej uświęconej sakramentem, z dziaćkami, kuchnią, jabłkami nie świeżymi, a upieczonymi przywiązaną ręką. No której, panie Arjonie?

— Świętą jest miłość w rodzinie — poważnie powiedział ojciec Wasyli — Bóg i Duch święty błogosławią jej z wysokości. Świętą jest siła, którą wzrastają państwa i narody. „Błogosławieństwo jest nad tym, który ukochał niewiastę, aby ją pojąć”. Świętą niech będzie pamięć matek wszelakich, które przez miłość ku mężowi poczęły w imię pańskie.

— Co to za herezja, ojcze Wasyli, jakże to pożądlivość jaką żona czuje ku mężowi Bóg błogosławi? A jeżeli pożądlivość zrodzi się poza sakramentem?

— Grzech, grzech, panie markizie.

— Nie, naprawdę, biorąc obiektywnie — mówił Wissarjon — sędzę, że nie masz większej siły nad miłość. Z niej się rozpoczyna wszelaka siła, ona jest cementem łączącym rodziny, domy, państwa. Nic jej przeciwstawić nie możemy.

— A miłowanie ojczyzny? — wstawił Stefan od niechcenia.

— No tak, to jedyne — zgodził się Wissarjon.

— Panie Wissarjonie — z uśmieśkiem powiedział markiz — czy pan zupełnie i zawsze wierzy w szczerść uczuć patriotycznych. Czy pan sądzi, iż rzeczy zawarte w tak zwanych czynach miłości ojczyzny jedynie tylko ten motyw w sobie zawierają. A wobec powszechnej i uznanej nieszczerości ludzkiej, panie Arjonie nie przychodziło panu do głowy, że i miłość ojczyzny może być zupełnie czemś innym po rozkawałkowaniu i rozpatrzeniu jej czystych motywów. Naprzykład czemś w rodzaju pozy, egoizmu aktorskiego.

— Egoizmu aktorskiego?

— Ach, tak. Ale może mówić zbyt wygórowanie, może pan mnie nie rozumie, panie Arjonie. Chciałem przez to powiedzieć, że może żądza sławy, rozgłosu, otoczenia swojego imienia blaskiem... tak coś w tym rodzaju. Co do mnie, to ani chwili nie wierzę w patriotyzm: to albo jest uczuciem stadnym,

albo czemś fałszywym: płaszczem, który narzuca jeden, bo mu z tem do twarzy, a inni narzucają, bo inny to uczynił.

— Tak, ale mówiliśmy o miłości.

— Ach właśnie — ciągnął markiz de Ribeau-pierre — właśnie dlatego, że w miłość wierzę mniej jeszcze, niż w inne głębokie uczucia. Czy nie czujesz na dnie uczucia — no, kochałeś może kogo kiedy już, młodzieńcze, czy nie czujesz, czegoś jakby zadowolenia, gdy to uczucie mija?

— Może, trochę.

— I czy nie zdaje ci się wtedy, że udawałeś sam przed sobą swoje uczucie.

— Nigdy przed sobą nie udaję.

— Nawet i w tej chwili? — uśmiechnął się markiz.

Dech Arjonowi zaparło ze zdziwienia. — W tej chwili? może trochę. A jeżeli w tej chwili to...

Konsekwencje przerwał markiz, nawpół odwracając się do niego:

— Panie Arjonie, sędzę, że po paru takich rozmowach ze mną, dowiesz się ciekawych rzeczy, jedynie ciekawych rzeczy, bo rzeczy o samym sobie. Przejrzysz się w lustrze mojej wymowy i dialektyki jak w swojej własnej duszy.

— Naprawdę markizie, dziwo mi słuchać waszej mowy — mówił ojciec Wasyli.

Markiz się roześmiał, a złe diabliki biegały w jego oczach:

— Ależ ja przecie żartowałem. Ależ naturalnie, że żartowałem, a pan Arjon dał mi się natyle nakłonić, iż uznał słuszność mego dowodzenia. Śmiałbym gdyby przestał wierzyć w miłość, kiedy ja, profesor, pozostałbym jej wiernym. To znaczy, że ładawiec nauczył żeglarza dobrze pływać i dał mu wskazówki jak dopłynąć do szóstej części świata, w której sam nigdy nie będzie. Naprawdę to byłoby zabawne.

— Na szczęście — ciągnął po chwili — pewien jestem, że rozmowy na ukraińskich traktach pomiędzy jedną wsią a drugą nie dają tak ważnych rezultatów. Nieprawdą, milczący panie Stefanie?

— Naprawdę — odparł zmieszany Stefan — patrzyłem w tej chwili na smugę ściernia wychylającego się z nad zaoranej ziemi.

— I cóż pan o niej myślał?

— Że jest zupełnie złotą — odparł Stefan.

Markiz uśmiechnął się i skinął lekko swojemi szklami na karetkę, aby się zatrzymała.

Gdyby rozmawiający o miłości byli przybliżyli się do niej przedtem, ujrzeliby w tylnym oknie dwie głowy, złotą i ciemniejszą, krótko strzyżoną, przytulone do siebie cicho a mocno.

X.

W ogromnej sali spotkała ich markiza. Dziwnie drobna i nikła. Ginęła całkiem w olbrzymiej ilości koronek srebrzystych i bładoniebieskich. Biała rączka, drobna i o cudnych paznogciach, otoczona była promienistym koronkowym mankietem. Oczy duże, chłodno niebieskie spoczęły na gościach bez życzliwości, ale i bez urazy. Usunęła się wkrótce do siebie, tłumacząc się chorobą, a markiz sam oprowadzał wszystkich po salach i salonach pałacu. Na obiad zgromadzili się zupełnie pod wieczór w czerwonej jadalni z czarnymi boazerjami. Uroczysty obrządek arystokratycznego obiadu, przeszedł prawie w milczeniu.

— Nie dziwcie się państwo mojej powadze — powiedział markiz pod koniec — ale do jutrzejszego święta zwykłem się przygotowywać bardzo poważnie i w skupieniu. Zdaje się, że pogoda będzie nam służyć w jutrzejszym obrządku. Tymczasem sądzę, że najlepiej zrobimy, gdy się rozejdziemy do swoich pokoi.

To mówiąc wziął świecznik z rąk jednego z lokai i poszedł sam naprzód znacząc drogę gościom długim korytarzem. U pewnych drzwi stawał i umieszczał, więc naprzód ojca Wasylego, obok Hanię, potem Arjona z Krystynem. U ostatnich drzwi stanął i wpuszczając przed sobą Stefana powiedział:

— Mam ochotę zatrzymać się w tym pokoju na chwilę. Czy pan pozwoli, panie Stefanie?

— Jestem prawdziwie uszczęśliwiony — odparł Stefan — naprawdę nie wiedziałbym co robić z resztą wieczoru.

— Doskonale się składa — powiedział markiz, stawiając świecznik na stole, na środku pokoju, podczas gdy Stefan zagłębił się w łono otomany. — Wieczór ten będzie należał do nas panie Stefanie. A mieć w ręku jeden wieczór, to jest już bardzo dużo.

— O tak, panie markizie, naprawdę.

Markiz usiadł na chwilę w fotelu, założył nogę na nogę, pokiwał nią trochę, a potem spytał:

— Dlaczego pan milczał, gdyśmy mówili o miłości?

— Czy pan uważa, panie markizie, tamtą rozmowę za tak ważną, że pan chce do niej powrócić?

Markiz wstał, przeszedł się. — No tak, oczywiście, że tak, za bardzo ważną; niesłuchanie ważną i dlatego chciałem z panem pomówić. Jestem zaciekawiony co pan myśli o miłości.

— Właśnie i ja sam zadaję sobie to pytanie, markizie; więc nie wiem czy będę mógł panu odpowiedzieć na nie jakkolwiek. Wy bo Francuzi, macie tę straszną konkretność myślenia; u pana jest, albo

tak, albo nie; albo wiara, albo niewiara. Nic pośredniego.

— O tak, nie pośredniego — żywo zawołał markiz — nawet odbiło się to na naszej gramatyce, gdzie są tylko dwa rodzaje, albo mężczyzna, albo kobieta.

— Aha, właśnie — ciągnął Stefan — albo mężczyzna, albo kobieta. Ale ja, ja jestem słowianinem, panie markizie i dla mnie istnieje taka masa odcieni przesubtelnych między tak i nie, między tezą i antytezą...

— ... Że absolutnie jest pan niezdolny do syntezy. Być może, że tak jest lepiej; chociaż pozwól sobie wątpić...

Tu zgasił świecę. Noc zajaśniała do pokoju; w wielkich dwóch płachtach okien stanął szafir jesiennego nieba usiany niezwykle wielkimi gwiazdami; puszytymi gwiazdami. Desenie najbliższego drzewa lekko krątkowały światło; markiz podszedł cicho, pozwoli rozтворzył wielkie skrzydło okna, zapachniało wilgocią, chłodem; dojrzałym liściem i przejrzałym owocem.

— Może pan wątpić, panie markizie; wątpienie daje tak wiele radości; czy może nawet szczęścia. Lepszym jest od wiary i niewiary; unosi nas na skrzydłach w ciepłym powietrzu, między gwiazdami, opowiada nam bajki o prawdzie i o kłamstwie.

— Dziwny z pana człowiek. Powiem panu po prostu, że chodzi tu o Hanię — odwrócił się markiz od okna.

— O Hanię?

— Tak, o Hanię. Chodzi mi o nią gdyż czuję, że przyszła ona do mnie z oddali jak fala; fala bardzo daleka, a zrodzona na tym samym brzegu co ja; dalekie echo dawnych kosmicznych wspomnień. Czy pan mnie rozumie, panie Stefanie?

— Rozumiem, ale nie poznaję.

— Bo widzi pan, to jest czar nocy jesienniej. Zmienia on mnie do gruntu i widzi pan już nie markiza, a mistycznego maga.

Stefanowi zdawało się, iż cień markiza na tle okna wydłużył się, wyolbrzymiał i gest z jakim wypowiedział ostatnie słowa, wydawał się jakimś mistycznym błogosławieństwem.

— Zrodzony jestem — mówił markiz — na dalekich brzegach piasku, gdzie legną się gwiazdy; przychodzę tu, aby poznać czem jestem. Przychodzę aby ogarnąć świat i siebie, a Ten, który mię posłał, wysłał za mną liczne fale, aby mię dognały i przyniosły mi wiew od tamtych stron: falą jest taką Hanią, która przychodzi królewsko, aby mi powiedzieć wielkie i tajemne słowo, mające mnie pouczyć, czem jest miłość. Stefanku miły, oto wahasz się w sub-

telnym odcieniach. W zandarzu masz list z Florencji i listek, który ci dała Hania. Myślisz, że się unosisz subtelnie między miłością a jej brakiem, między kochaniem, a miłością i malujesz pastele, bardzo piękne, wosenne subtelne pastele. Olala, panie Stefanie, olla!

— Ależ markizie — zdziwił się Stefan — dlaczego się pan z tego śmieje. Cóż jest w tem złego, że jestem subtelny.

— Subtelny, to subtelny, panie Stefanie; ale nie widział pan rzeczy najistotniejszych — tego co jest pod miłością i pod życiem, a co jest święte. Czy nie czujesz naprzykład, czy w jednej mojej rozmowie z Hanią nie odczułeś, że jesteśmy związani pod życiem i pod miłością, korzeniem przegłębokim i że nie nazwiemy tego nigdy miłością, aby tego nie skalać. Bo miłości niema, panie Stefanie, ani pana subtelności nie są miłością — a jest tylko wielkie potężne, olbrzymie kłamstwo ludzkie. Czy wierzysz pan w kłamstwo, panie Stefanie?

— Ach, czy ja wiem! Może tak, może nie.

— Ach, prawda. Pan jest słowianinem i unosi się na skrzydłach wątpliwości — a ja wierzę w kłamstwo i wiem, że wszystko jest kłamstwem; a jedyną prawdą i jedyną rzeczą istotną i istotnie coś wartą, są te prądy odwieczne, co pod powierzchnią kłamstwa ludzkiego płyną i wiążą niewidzialnie światy i ludzi, gwiazdy i kobiety, palmy i jabłonie, owoce i uśmiechy, złoto i burzdyn, Hanię i mnie i pana i Krystyna w jeden węzeł nierozzerwalny istnienia najgłębszego, które szkoda nazywać Życiem lub Miłością.

— Czar nocy jesiennej! — uśmiechnął się Stefan.

— Nie, nie, — zacisnął zęby markiz — jeszcze nie jesiennej, jeszcze letniej. Jutro bowiem jest ostatni dzień lata.

— A więc nocy nachylonej ku jesieni.

— Jak jabłko dojrzałe, które czeka na wiatr uścisną, aby opaść na trawę.

XI.

Tej samej nocy Hania rozmawiała z ojcem.

Pop Wasyli siedział w fotelu, bezradnie rozłożywszy ręce i patrzył na córkę, która chodziła po pokoju, lub przysiadła na framudze okna i patrzyła w ciemności.

— Cóż tam robisz?

— Gwiazdy liczę, ojczu, — odpowiedziała poważnie. Potem odwróciła się i spojrzała nań z uwagą. — No, co tam chcesz powiedzieć mi, tatuś? Bo coś w sobie czujesz niedobrego, jakieś wyrzuty, jakieś uśmiechy. No co? Niezadowolony baćko ze mnie, że córka śmiała, że zęby szmerzy i do Stefana i do

Krystyna i do markiza; że się pnie na pałacę popadajanka, co? Prawda to? Prawda?

— Ano niby prawda. Ale skąd ty wiesz?

— Wiem baćku, wiem — tu uśmiech jej stał się pół smutny pół tajemniczy — wiem, co ty myślisz. Ano, bo i prawda, — chata mi chłopaka znaczonego, a nie hrabskie pokoje. Miód sycić i jabłka suszyć, a nie brzoskwinie całować i pieścić ustami srebrnych stołów pańskich.

— Tak, Hanuś, tak. A ty jak ćma lecisz na to wszystko. I boję się tak; strach serca ojcowskie bierze, Hanu. Tyś przecie moja córka jedyna. Moja córka, Hanuś!

— Tak, baćku i wasza córka. Ale nie tylko wasza córka, ja boża córka, baćku. I boża córka i nieba córka i morska córka — wszystko mnie urodziło tatku: z daleka ja przypliywam do ciebie; u ciebie się urodziłam, ale ja nie tylko twoja córka. Ja jestem fala, co przypliywa z daleka i mam ochłodzić wszystkich, kto się mnie dotknie. Czy ty widzisz, jaka ja spokojna? Czy ty widzisz, jak ja niczego się nie boję? Czy ty nie zadziwił się nigdy, jak ja ludziom w oczy spoglądam? Jak ja się śmieję, jak ja się uśmiecham?

— Hanuś, dziecko moje, co ty mówisz. Naprawdę, aż dziwno, aż straszno, bo i prawda to wszystko, co ty mówisz, a straszno?

— Bo ty, baćku, na prawdę nie chcesz patrzeć. Powiedz mi, czy ci nigdy do głowy nie przychodziło, że ja wiem, co ja robię, że zupełnie dobrze wiem; że nie lecę jak ślepa ćma na laskawość Stefana i na całusy Krystyna, że doskonale widzę uśmiechy furmanów i lokaj, ale widzę, dokąd idę. Nie wierzyłeś mi ojczu i to właśnie najgorsze. Nie widzisz pozamną tych, którzy mię wysłali, abym przyszła jak fala i rozprysnąwszy się o brzeg ochłodziła was i odeszła na łono dalekich wód i wybrzeży.

— Mówisz niejasno, Hanu. Stare moje serce słucha cię ze strachem i nabożeństwem.

— Bo Bóg przezemnie mówi, baćku. Jestem z rodu kapłanów i jestem kapłanką wszystkich rzeczy, które są święte; i twoją ojczu, bo ty jesteś taki święty prosty staruszek. Tak bardzo wierzysz, modlisz się; lubisz wszystko czegokolwiek się dotkniesz; drewniane naczynia i złote morele w twym ręku stają się poświęcane; Stefana lubisz i Hanię i wszystkich — prawda? — mówiła to już obok niego, tuląc się i obejmując go. Ty jesteś właśnie święty staruszek i nie boisz się nikogo: wszędzie widzisz swego dobrego Boga. I nie zdjął cię strach ani na jasnych pokojach domu pana Stefana, dziedzica ziemicy naszej, ani wtedy, kiedy w cieniu wieczora — prawda, jak wtedy było niebiesko — przyjechał markiz,

A Stefan się bał wtedy; a ty wiedziałeś, iż ten co przybywa, przybywa w imię boskie, a ja też wiedziałam to i wiele więcej, wiele więcej wiedziałam — i myślę są jedyni, którzy się nie boją. Prawda, tatku, prawda?

— A potem Stefan leżał się listu z Florencji, choć tam nie mogło być nic złego i nie było. Bo mi go dał potem do przeczytania, a takich rzeczy nie powinno się tać. Ale było tam jeszcze coś inszego czego i ja nie rozumiałam. Ale nawet kapłan nie wszystko pojmuje. Prawda ojcie — Wasylu? ojcie — królu? Czy nie przychodzi ci na myśl niekiedy, ojcie, że my jesteśmy z królewskiego rodu? Z rodu Dawidowego, z rodu Melchizedekowego? Z rodu świętych pańskich? Ja to wiem. Dusza moja urodziła się z króla i z fali. A potem z zamku i obłoku, ze skały i potoku. I przyszła szukać króli i obłoków, zamków i srebra. Widzisz więc, że znajduję to wszystko, a mało mi jest tego. Wiesz, że całuję Krystyna i całowałam Stefana; wiesz, że nietoperza w mrowisko kładłam, wiesz, że doilałam czarne krowy o północy i chodziłam do lasu pukać krzyżkiem w Ławrze święconym w jesionowe drzewa. Ludzie we wsi mówią, że jestem czarownica; a Stefan myślał, że jestem pogańką, gdy stanęłam w drzwiach z miodem i jabłkami i z chlebem i powiedział mi: „Bądź pozdrowiony Djonizy w imię pańskie”. A to jest wszystko tylko moja wędrówka i moje powracanie. I spotkałam markiza i pójść znów dalej, ale podałam mu dłoń moją, aby uściśnął i wziął z niej wszystko, z czem mnie posłano, abym mu oddała, abym go ochłodziła w drodze jego, która tak jest kołowa jak moja, abym zawiązała węzeł nad nim wieczny, abym skołała rozplątując węzły własne i jego i Stefana...

Wyprostowana sztywnie stała w pobliżu świec i czarnej nocy, a oczy jej zaszyły bielmem epilepsji.

Ojciec Wasyli przeraził się prawdziwie.

XII.

Wissarjon i Krystyn po nocy, która napelniła była przyjacielakami zwierzeniami, zbudzili się jednak wcześnie, gdyż chłód porankowy dał im znać o sobie. Leżeli tak, jak ich sen wczoraj, podczas opowiadań Wissarjona o politycznych pracach stowarzyszeń południowo-ruskich, zastał na sąsiednich łóżkach i natychmiast oczy ich się spotkały. Potem popatrzyli na drzewa parku, tonące w białej pianie jak morakie porośle, wydostające się skądś z więzów jakich czy omamień ruchem żalonym.

— Dziwne to wszystko, co się z nami dzieje — powiedział Krystyn z westchnieniem. — Od chwili przyjazdu czuję jak coś mnie ciągnie w dal.

Pójdziemy — powiedział Wissarjon — lud nasz ciemny, oglupiony przez panów, popów i żydów...

— To nie to, Wissarjonie, nie to. Ja wiem, że ty masz rację w tem wszystkim i że ty pójdiesz i będziesz pracował i nauczał, ale mnie ów głos nie tam woła. Stefan i ja, i Hania, i markiz — nie pójdziemy nauczać, ani na wojny krzyżowe, na które zawsze dawniej obiecywałem iść ciotce Felicji. Mimo to, wiesz, że ja tylko tak powierzchu wydaję się zdrowy, mocny; a Stefan nie lubi, że ja konie kąpię lub wogóle coś podobnego, szalonego robię; ale ja we środku nie jestem taki; czasem mi wieczorem w parku, kiedy tak sobie chodzę, wiesz tam gdzie leszczyny, albo gdy zbieram dojrzaleśliki — dziwnie miękko robi się na sercu. Nie śmieję się Wissarjonie. Wiesz przecie, że zbieranie owoców, to nie śmiech, a prastary pogański obrządek.

— Ach, ty poganinie, — zaśmiał się Wissarjon — a kto to czytywał psalmy z ciotką Felicją i co niedziela do kościoła jeździł, co?

— To nic nie znaczy. Zresztą nie będę ci mówił, jeżeli masz się śmiać. Ja się nie śmieję z tych twoich bzdur, z tych dekabrystów...

— Słuchaj, Krystyn, jak ty będziesz tak o nich mówił...

— Cha, cha, cha, — Krystyn zakrztusił się od śmiechu. Widzisz Arjonie czem cię można upiec. — Skoczył na łóżko Arjona, przycisnął go mocno obiema rękoma i patrzył mu prosto w oczy: Słyszysz, ja pojadę z twoją siostrą do Grecji, a może do Rzymu. Ale ja właśnie z nią ucieknę na koniec świata, gdzie mię nikt nie zgoni, ani Stefan, ani markiz; a jeżeli dogonią, to będzie już po wszystkim. Zabiję siebie, ich i ja, a przedtem będę tańczył dzikie płasy, rozumiesz, dzikie płasy. — Ty wiesz, że u nas dziewczęta na Iwana Kupala tańczyły nago na polance za lewą północą, i Hania była między nimi. A ja chciałem zobaczyć i zakradłem się tak blisko, że strach. I podła gałązka trzasnęła mi pod nogami; one mię złapały, rozebrały do naga, ale tak, że koszulę w strzępy podarły i kazały ze sobą tańczyć i śpiewać jakieś takie dziwne pieśni; mówiły, że to „wiośniarki” i kręciły się w kółko wraz ze mną, aż mi świeczki w oczach stawały, a potem to mię tak zbiły, że ledwie dowlokłem się do domu. Wołały tak głośno na siebie w nocy i nie bały się, bo to była noc Iwana Kupala. Od tego dnia pokochałem Hanię. Ty wiesz, że ja ją pokochałem i nikt mi jej nie odbierze, ani markiz, ani Stefan, ani ty, Arjonie. I dlatego nie pójść za tobą. Pójść z Hanią w lasie tańczyć. Pojedziemy z nią. Może już prędko ucieknijemy...

Opowiadając zszedł z łóżka i nagi chodził po pokoju, potem przybliżył się do Arjona i szeptem mu powiedział:

— Wiesz, wiesz? ja ci powiem... my w tych dniach uciekniemy...

I nawet nie wazał na to, że Arjon śmiał się jak szalony z tej całej ich ucieczki.

— A, bo ty myślisz, że to przyjemnie siedzieć w tych Lachowcach w jesieni i w zimie. Nauczyciel nudzi łaciną i greką, albo każe matematyczne różne androny wypisywać. A mnie się chce na świat, na długi, szeroki świat... nawet bez Hani. Stefan opowiadał kiedyś, jak pędził konie wzdłuż wybrzeży Malej Azji. Opowiadał, jak spędzał noce pod gołem niebem w Anatolii, albo jak za Odessą jechali przez stępy nieorane i niekoszone od lat, wśród pachnących traw. Czy ty byś chciał tak pojechać przez świat Arjonie, przez lasy i stępy? Poproś Stefana to mi kiedy pozwoli czwórkę koni i powóz, i jechać... mijając wsie i patrzeć, że są inne, a takie same, jak nasza. Mijać ludzi i myśleć, że są tacy sami, jak my.

— Tak samo lubię czytać historię; nauczyciel nazywa to podróżą w czasie, a mnie tak dziwnie, że ludzie zawsze byli tacy do nas podobni; tak samo dziewczęta tańczyły w Grecji, jak Hania w dniu Kupały i tak samo modlono się do bogów i bogini, jak my do Boga.

Podszedł do okna: w ciszy przedjesiennego poranku liście krzewów i drzew mokre były od rosy; mgła i chłód ułatniały się; z sąsiedztwa dochodziły oparów wyglądało niebo, zwiastując przyszłą pogodę. Wzdłuż alei, przechodzącej pod oknem, szła markiza, obcinając pęki zeschłych róż nożyczkami, które miała w ręku. Suknię miała wczorajszą. Zdawała się, jak mgła, chciał ufrunąć na szlakach szaroniebieskich koronek. A gdy przecudnymi rękami w promieniach koronkowych mankietów przebierała zeschłe badyle, na twarzy jej osiadł wyraz skupiony i tak dziwny, że Krystyn długo nie mógł go zapomnieć. Nie powiedział też Arjonowi, że widział markizę o tak wczesnej godzinie, w ogrodzie, z przekwitłymi różami.

XIII.

Skoro się zebrało na południe, powiódł markiz wszystkich cienistymi alejami, kiedy plamy słońca świeciły, jak miodne złoto, do świątyni Cerery, która się znajdowała za stawkiem na końcu parku. Przez przykurzone i rzadsze już nieco liście drzew, niebo sine, czyste i naprzeciw niego tafla stawu jak szkło, zupełnie kryształowa, o tej specjalnej sztywności i pie-

knie, jakie ma woda w jesieni. Deseń drzew tonowała swoje kolory w dziwnej gamie od ciemnej zieleni do rudych zwojów, w które się gdzieniegdzie poskręcały kasztany; na stawku pływała malutka łódeczka, naładowana złotem dojrzałych, czerniejących już snopów; a nad nimi sterczały gałęzie jarzębin i kalin, w dwóch cieniach korale i zwisały się aż ku wodzie, za łódką smugi kryształów zostawiając — macając nadwyrzab dokładnie odbicia nielicznych białych i drobnoszarych obłoków. Szli parami, ścieżką naokoło stawu, przez wypukły mostek nad porośniętą łopuchami strugą, potem aleją berberyśców, które oczekiwały niby krwią kroplistą z ran cudownie w zieleni zamienionych.

Świątynia Cerery, okrągła o czterech kolumnach fasady, stara już i omszona, stała schodząc schodami aż ku zielonawej tafli stawu; gdy weszli do wnętrza ogarnął ich przyjemny chłód i brak światła; przez wąskie, wysokie drobnokratowane okno wlatywał blask nikły, rozpraszający się natychmiast między poczerniałymi freskami, przedstawiającymi historię Cerery i Prozerpiny, i między połyskiem wielkich srebrnych trąb olbrzymich, przepięknych organów, na których obecnie tylko nikła markiza grywała. Ławy wpółokrągłe, czarne, jak i organy otaczały półkołem mrok świątyni, w głębi zaś na tle olbrzymiej, jasnej kotary stał na podwyższeniu paru schodów niby ołtarz, niby piedestał, z którego zdjęto posąg bogini, a gdzie wyrte widniały słowa:

Ceres mater omnium.

Obrządek się rozpoczął. Naprzód markiza grała na organach, długo przelewając wodne i szklane dźwięki dziwnie brzmiających trąb, niby fletnie, wzywające na gody, czy na święto wszystko, co żyje w lesie, w parku, w stawie; potem czworo pacholąt wystąpiło na schody przed piedestał i śpiewało po łacinie jakąś pieśń obrzędową, tęskliwą, smutną, wzywającą, z której nie rozumieli zebrani nic a nic, ale czuli w niej rozpacz pijanego czekania, żegnania, po którym ma nastąpić nowe widzenie się bardziej dojrzałe, bardziej rozkoszne; powoli wraz z ostatnimi akordami czterogłosowego śpiewu zasunęły się rolety okien i ciemno było zupełnie, tylko dwa ołtarze po bokach płonęły zniczem czerwonym. Zabrzmiały dalekie flety i bębniaki i rozsunała się kotara w głębi. W ciemnej niszce z rękami wysoko wzniesionymi, dźwigającą na nich tacę złożoną winogron, jabłek i granatów, w biele tuniki, w złocie włosów — stała Hania.

Zwolna, miarowym rytmem bębnow pobudzana, zeszła parę stopni i ustawiła ciężką miśnię na postumencie, a potem, zeszedłszy jeszcze niżej, twarzą ku widzom zwrócona, poważna i skupiona, prawie gu-

biała kontury swe w mroku, ręce w tył wyciągnęła, szukając owoców na tacy, aby je oddać zebranym czcicielom. W ruchu tym zadumana, przydługą tunikę nastąpiła i kosztowna spinka, dzierżąca ją na ramieniu, rozpięła się i kolcem złotym naznaczyła ramię i pierś białą, która powoli z tuniki opadającej wypłynęła. Krople krwi poczęły cichutko i zwolna sączyć się ze szramy po bieli dziewiczego ciała, ale Hania nie uważała na to; pełnemi dłońmi wyciągnęła winogrona ku tym pochylonym; wyciągnęła gestem matki, podającej piersi ukochanemu dzieciciu, mówiąc głosem słodkim:

— „Bądź pozdrowiony, Djonizy !“

Flety i bębny odmierzają dziwny, zawrotny, a coraz szybszy rytm.

XIV.

Gdy po skończonym obrządku wyszli na schody przed świątynię, wiodące ku wodzie stawu, mijał właśnie przelotny deszcz; gęstą siatką pokrył zieleń zakurzonych drzew; dalsze okrył siną mgiełką, a wodę w stawie zamaścił częstym uderzeniem perlistem. Ale już poza jego warkoczami, równemi, rzadkiemi, spokojnemi siniało pogodne niebo i przez szarość jego przeświecał i wzbierał czysty, wielki, biały obłok, wydęty jak łono karmicielki.

Ojciec Wasyli zatrzymał się w progu; markiz i Stefan stali poniżej, trzymając się pod ręce. Ojciec Wasyli wyciągnął ręce na deszcz, ogrody i obłoki i powiedział spokojnie:

— „Dlatego będzie modlić się do ciebie waszelki święty czasu pogody“, czasu pogody jesiennej.

K O N I E C .



Rzecz — St. Samoj.

MISCELLANEA

DOŚĆ NIENAWIŚCI

Z wyziewu krwi krzepnącej milionów ludzi zabitych przez ludzi, w oddalającym się pomruku ostatnich szczęków morderczych narzędzi, w przesycie zwycięstw, w sromie klęsk... w chaosie załamania się świata wczorajszego i narodzin nowego — łoni się odrodzony, z dawna zapomniany błysk bożego objawienia.

Rodzi się. Odradza, iżby błysnął raz wtóry, albo już dziesiąty.

Świta już?

Ha! jeszcze skowyt hyen odzierających i hyen odzieranых skomlenie piekielną muzyką smrodliwie wypełnia powietrze.

A Objawienia błysk?

Poprzez wszystkie mrok znaczy się iskry pierwsze tchnienie.

Czy błysnie? płomieniem buchnie albo pożogą? po wszystkim świecie rozleje się ogromnym żarem? spali? zwycięży?

Polska dzisiejsza tchnieniem Juljuszów, Adamów... stworzona zwycięży, gdy wchłonie w siebie on błysk poczynający się w łonie załamującego się w sobie i rodzącego się z siebie świata; gdy otrząśnie się z wszystkich krętych tłumaczeń Słowa, z pielęgnowanych przez wieki fałszywych świadectw Imieniem Syna Bożego świętokracko zaklętych dla otoczenia zbrodni nimbem Nieba, gdy wbrew przykazom dnia jednego, jednego życia, jednej epoki, lubo jednego wieków wykroju, przeniknie Słowo, z którego zrodzone jest prawo obowiązujące ostateczność świata wszystkiego.

Zwycięży Polska, gdy Objawieniem żyć będzie.

— — — Spójrzcie, przyjaciele! w tych, co zapragnęli być osią Narodu, jako klął każde słowo pojednana innym przesłane ludom; spójrzcie w nich, a ujrzycie, żali już zdźbło błysku w duszach ich żyje, lubo czy wyznawcami są załamane go w sobie świata?

Zaprawdę: Jeden jest, który jest Człowiekiem, przeto jest osią Narodu. Gdy On cały Naród — niby powolny powój okręci dookoła siebie i jego pragnienia wszystkie wplecie w wir swoich ideałów — wtedy Polska zwycięży.

— — — Dla Polski wskaźnikiem jedynym, Jej wielką mocą, Jej życiem jest Słowo, które w Niej Ciałem się stanie, bo tylko w twórczości niema zarodku tych potęg, które różnią narody, ale są potęgi wszystkim narodom wspólne. Jest to prawda odwiecznego Objawienia.

Nastał czas, iżby głośnie stało się hasło największego z skaźców — hasło zapodżane gdzieś wraz z przebrzmieniem ostatniego westchnienia boskiego Złoczyńcy.

Gdzież hasło najszczytniejsze?

Jeszcze rozbrzmiewają dawne, rozpasane nienawiści, a przecież czas już do nowego nam gotować się życia.

I poglądamy ku wyzwolonemu życiu poprzez narodów trwającą niezdolność pogodzenia dobra własnego z Słowem Objawienia; poglądamy poprzez kłamstwo, które stwarza odmiennność prawa człowieka i prawa narodu.

Poglądamy z wiarą ponad wszystką zbiegowisk narodowych wrzawę i ponad tępą ostrość pisanego co dnia, ulicznego hasła — świadomi, że nie to daje moc narodowi co mocnem zdaje się być dnia tego, który nie ma w sobie wiecznej ciągłości, że nie to zbawia, co spełnia pragnienia urojów nauczonych ideałów, ale to co wiąże teraźniejszość z prazródłem i celów ostatecznością — to co wieczną teraźniejszością jest.

Skoro ci, którzy pierwsi winni wznieść ponad znękanie krwią i nienawiścią głowy nasze kojący znak Krzyża, milczą, my zasię daremnie czekamy hasła — podnosimy głos nasz ponad niemilkące hasła nienawiści upstrzone przynętami, narodowymi barwami i wołamy wkrzeszenia hasła zapomnianego.

Głosmy i dokonujmy EWANGIELJĘ MIŁOŚCI.

LIST DO PRZYJACIÓŁ O „ŻYWYCH KAMIENIACH” WACŁAWA BERENTA.

O wy waganty, a igree, a piszczi, oto się wam na nowo opowiada ewangelija radości „ewangelija wieczna”.

Wiarę w „starcie smutków z oblicza ziemi, w odnowienie serc człeczych”, opowiadają wam. Słuchajcie, a zważajcie pilno, kto wam to mówi, kto wam to powiada.

Goliardus sam. Mistrz wasz półtwarzą na stare jeszcze odwrócony ziemie, a półtwarzą już na nowe spoglądający wieki, błogosławi wam wielkim krzyżem, na którym i brat słońca Franciszek i symbol wszelkiej radości i wszelkiej mądrości: róża i wąż są wyobrażone. Słuchajcie go uważnie, bracia moi a przyjaciele.

Oto w ciemności się rodził on: przyjaciel nasz, mistrz stary, pokoleniu naszemu odkrywający mądrości wieczne, rycerz błędny — który szukaniem swoim poznał mądrość i w żywocie swym blakającym się coraz to skarb nowy znajduje, a szlifuje go latami całemi, oprawia w złote słowa i oddaje pokoleniom następny na podziw. Pochwalmy go, bracia, podziękujmy mu, ucieszmy się przez niego i dla niego. — Może niejeden z nas osiadł kiedyś, aczkolwiek dziś szuka po świecie całym — przeto dziś jeszcze, kiedyśmy młodzi i weseli, uczcijmy mistrza poszukiwania, iże nie osiadł, nie utuczył się i nie zarabia ino igra na chleb powszedni. — Opowieść swoją nam głosi. Wiarę znalazł i chce, abyśmy i my wierzyli. A że się ta wiara gdzieś, gdzie-niegdzie, załame, zachwieje, że czasem się podtrzyma słowem jeno jakim, że zieją z poza niej przepaści męki i przerażenia — temci droższym powinien nam być mistrz ów, który wiele cierpiał i wiele przełamał w sobie.

Wyszedł z wiary w swoje pokolenie, utracił ją i czeka; obziera się za siebie i czeka, spoglądając na nas, przyjaciele, abyśmy się wzięli za ręce. My żaki, a on przeor, który nam powiada, abyśmy pełnili graalową służbę, „sprawę, ku temu, aby się starły smutki z oblicza ziemi i odnowiły serca człeczce”. Błogosławieństwem kończy swą opowieść.

On, który zamykał dzieła swe formułami głębi przesmętnej zagrobowej tajemnicy, który „Próchno” pieczęcią Om zapiał, a „Oziminę” — Jachosa wezwaniem, który powoływał nas do roztopiania się w wielkiej tajemnicy wszechbytu — zamyka nowe swe dzieło wołaniem o radość ziemską.

Ile musiał przeżyć mistrz Goliardus, aby się wreszcie ku naszemu pokoleniu obrócić, — w błędnych rycerzy naszych czasów uwierzyć, — któż to powiedzieć zdoła?

Przebył przepaść dzielącą nas od przeszłego pokolenia z ducha i na tyle znalazł w sobie bezstronności, aby ze smutkiem obrócić się ku nim i powiedzieć im: bando moja, kompanjo moja smutna, oto miniemy razem ze starą ziemią i ze starem niebem, a młodzi przyjdą z krzykiem i hałasem: na mogiłach naszych świątynię radości postawią i pisać będą nowy boski płas życia i wiary w życie. Problematy, problemaciki, tematy, psychologja, zasady, które stawiało sobie jego pokolenie, wydają się nam, przyjaciele, czemś odległe dalekiem. Zapomnieliśmy już o zawodach i zmorach, zapomnieliśmy o subtelnych analizach psychologicznych na papier wylewanych, zapomnieliśmy może nawet o literaturze. Bracia, wszakże my żyjemy i kochamy! I słowo błogosławiające przeora potwierdzające najistotniejsze, najgłębsze podkłady naszej psychiki odpowiada na pytanie, którego byśmy zresztą już sobie nie stawiali nawet, na pytanie boskiej prawdy Żywota.

Koniec dziewiętnastego i początek dwudziestego wieku acedją przesmętą ogarniony wydaje się nam szarym i bez blasku: możemy nawet przeoczyć w nim jaskrawe klejnoty szczyrzych płam. Ale my nowi, my inni, my jesteśmy tacy:

Bóg się zakochał w nas, jak my w boskości,
I na wszech drogach — witając z daleka —
Zbiera nas, wiedzie w dom, radosnych gości:
Ludzi pijanych poezją człowieka.

Potem my, w świętej apologii życia,
Ręce rozwarłszy, stoimy u proga
I z obłocznego na niebie ukrycia
W świetlice nasze wprowadzamy Boga.

(K. Wierszyński.)

Do nas, którzy idziemy w świętej apologii życia odezwał się Goliardus, starszego pokolenia mistrz, mistrz „Żywych kamieni”, słowem potwierdzającym naszą wiarę. Przemądry słuchał, co mu wierzący w bezwzględne zlanie się dobra ze złem Merezkowski powiedział; słuchał co mu Walter Pater w swoim cudownym „Marjusz Epikurejczyku” i Fikcyjnych portretach powiedział; patrzył jak na drzeworytach mistrza Albrechta Duerera śmierć tańczy, jako rycerz oblakany z kostuchą się spotyka; jak to szklanica w ręku nieznanomem z klepsydrą się przewęża; widział, jako żywe kamienie wysmukłe lilijne, — radosną nowiną betleemską olśnione, ku niebu się całe pociągały; usłuchał co mu Palestrina w kadencjach kościelnych powiedział; dzieła średniowieczne wertując, przedziwnie kochane zdania po dziecinnemu ułożone odnajdywał, skąd i to napewno wypisał urokiem całego średniowiecza oblane: „że gdy się wśród ruin węże przytrafia, zawsze bywają czarne z natury swojej” i, wyszał z dzieł mądrości sok przedziwny, którym upoić nas chciał.

Tenci naprawdę poszedł na graalowe szukanie. Przez Próchno i przez Oziminę. Chciał nas powieść w dal, w głąb, w jakąś cudowną „Gdzieśtamję”, jak nazywa to nasz druh daleki, Kamiński, przyjaciele. A że się ta droga wdał — jakoby na księżyc — załamuje i nawraca, że dziwi nas owo nagły z szukania zewnętrznego powrót do skarbów wewnętrznych — to darmo: młodość li tylko w nas tak gra, w żakach, którzybyśmy na kraniec świata gdzieś poszli, jako nasz ukochany Artur Rimbaud, we wschodach i zachodach szukający prawdy. I że nas młodych irytuje nieco to znalezienie Graala w sercu własnem — co przeczy ochocie do wędrowań wszelakiej: młodość to nasza powiada tak, a lekkość. Żle może nam, iż można prawdę znaleźć nie ruszając się z miejsca, dalekich krajów nie odwiedzając wcale. Ale uczcijmy mądrość, która nas naucza.

Oto obaczył, a słuchał tak, jakem powiedział, a wchłonawszy mądrość, scholastykę, kościółów podniebnych harmonję, drzeworytów linję twardą, a mocną, organowej muzyki kadencję i zbudował — dosłownie zbudował, wyciosane długą pracą kamienie łącząc, dzieło to swoje. — Bo dusza radości szukania okryła się tu ciałem przepięknie nadobnem i umiłowanie spłynęło na rylec i na duto: muzyka zabrzmiała organów w takim np. rozdziale zakończeniu:

„I wyszła światłość z księgi i mnicha słońcu samemu naprzeciw. Za słońcem zajrzały przez okno i gołębie ciekawe; dziwią się, wypatrują ruchliwemi główkami: czy nie Franciszek to sam w błogosławieństwa glorię.

Póki ich przeor chustą zdala nie spłoszy, powiadając, by nie przeszkadzały bratu Łukaszowi.

Furkną na klasztorną wieżę, polecą w górne kregi. I znów oto spadają, na okno celi, przynosząc bratu za kolory do księgi — złote błękity podniebia na swych skrzydłach białych.

Ale przeor chustą znów je płoszy, powiadając, by nie przeszkadzały bratu Łukaszowi“.

Jasność muzyki wewnętrznej przeżyć zlewa się tu z muzyką brzmień i konstruuje w jeden z najdoskonalszych łuków tej budowy Żywych Kamieni.

Dzieło na wszechmiar podobne do tumu — niewykończenie owo, nawrócenie, rozpadnięcie się ku końcowi na szereg brył — ba, rzeźb w drzewie nawet (śmierć płatnerza) — jako wieżę katedry niedokończonej zatrzymane w polocie skrzydła. Ale kto wejdzie do wnętrza, dozna otuchy. Rozdzieli się przed nim Zofija, mądrość Boża, na trzy skrzydła odwieczne: Amor — Misericordia — Caritas — Tryptyk ołtarza, który Bóg odnaleziony, choć ukryty, w dziele Berenta nam otwiera.

Skoczka nam miłość otworzy przepiękną — i zamrze z wyrazami najcudniejszemi na ustach, ona ofierze Aphroditac,¹ divinae, sacrae oddana.

A połamanie dróg wewnętrznych goliarda smutnem a śmiesznem niechże się nam wyda; nam, którzy wiemy, już, żeśmy powinni iść, od kolebki olśnieni Życiem, „do Boga-przyjaciela”, który nam gniazda skowrończe na krańcach przyziemnych a ponadśłonecznych dróg ukazuje.

Uczcijmy więc, przyjaciele, mądrość, która przemówiła do nas, unosząc w górę kielich winem, krwią, a mądrą oliwą napelniony. Pozdrówmy czaszę Graalową, idąc na życie ku temu, „aby się starli smutki z oblicza ziemi, a odnowiły serca człeczce”, nim „o zorzy, uzbrojeni w gorącą cierpliwość, wejdziemy do olśniewających miast” (Rimbaud). A wstępując do wielkiej świętyni Żywota, ucałujmy Kamień Żywy, który leży na progu.

IGNACY MATUSZEWSKI

1858—1919.

Umarł jeden z tych rzadkich krytyków-myślicieli, których w Polsce — chciałoby się powiedzieć, że można ich na palcach jednej ręki policzyć — ale zdaje się, że jednego tylko Miriamu mogliśmy postawić obok niego — nie w tym sensie, by Matuszewski równał się Miriamowi, bo Miriam góruje nad nim wysoko twórczą swą siłą i bezwzględną śmiałością, ale Matuszewski był jedynym krytykiem polskim, który wzywał się z zbroźną miłością w duszę twórcy i starał się usilnie twórcę jego odzwać współtwórczo.

I on jedyny obok Miriamu, który posiada istotną głęboką wiedzę i tę niezmiernie rzadką, a tak szlachetną ciekawość rzeczy ukrytych, nigdy nie ślizał się po powierzchni, ale docierał do jądra rzeczy.

Zewnętrzne przejawy nie wiele dla niego miały wartości, wszędzie sięgał do prailów i szukał istotności: ukrytej woli tworu.

Nie dziw więc, że z ciekawością badał przejawy duszy w jej najwięcej tajemnych związkach. Nieprzeparcie nęcił go okultyzm; był zdaje się jedynym w Polsce, a przynajmniej jednym z niewielu, który odczuł istotną wielkość badacza tej miary, jakim był Ochorowicz, ten sam wielki Ochorowicz, którego Warszawa wykpiła, a który w współczesnym świecie naukowym w Francji cieszy się bezwzględny autorytetem. Z dziedziny okultyzmu napisał Matuszewski dzieło „Djabel w poczji itd.” — dzieło, dorywczo wprawdzie pisane i aż nazbyt oględne — ale Matuszewski inuiał wprost przemycać do piśmiennictwa polskiego okultyzmu, przemycać, bo, gdyby był otwarcie wystał i z całym zasobem wiedzy, jaką bezsprzecznie posiadał, byłby go niewątpliwie spotkał los Ochorowicza. Owcom tych studiów okultystycznych było jego studium o czarnoksięstwie i mediumizmie; studium okultyzmu zwróciło go w stronę tak zwanej „nowej sztuki” i pozwoliło mu wyczuć istotę nowych prądów w literaturze nie tylko polskiej, która wyrzuciła naturalizm i jęła kłaść fundamenty pod panowanie Ducha w sztuce polskiej. Matuszewski był prawie jedynym, który z rzadkiem zrozumieniem, nieomal z miłością śledził, badał, analizował przejawy tej nowej sztuki i wykrył jej ukryte związki z twórczością Słowackiego z jego ostatnich lat.

To też dziełem istotnej wartości dla znajomości literatury polskiej ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku pozostanie jego studium: „Słowacki i nowa sztuka”, a poglądy jego na istotę sztuki, jakie wyraził w dziele swem „twórczość i twórcy”, nie wiele różnią się od poglądów Miriamu lub Przybyszewskiego.

Samoistnie, kierowany tylko głębokim wczuciem się w istotę twórczości, musiał z konieczności dojść do tych samych wyników.

Wśród całej tej masy ludzi, którzy zowią się i zwali u nas w Polsce krytykami, tej płytkiej, nienawistnej, a częstokroć bezmyślnej masy sterczał, jak dzwina, a zarazem tragiczne zjawisko.

Tragiczne bezwzpieńie, bo nie było dlań miejsca w Polsce, nie mógł się bezwzględnie wypowiedzieć, siły swe niszczył w krwawej walce o byt codzienny, musiał przemilczeć rzeczy, któreby wypowiedzieć pragnął. — pełno w jego pracach rzeczy rzeczy niedomówionych, brak w nich bezwzględnych, konkluzji, któreby z swoich założeń wyciągnąć musiał, ale nie mógł tego uczynić, chcąc uniknąć losu — Ochorowicza.

Ktoś nawotywał rząd polski, by pilnie baczyl, aby w Polsce talenty i zdolności artystyczne się nie paczyły — a w istocie najwyższy czas, aby rząd polski jak najpilniej na to baczyl, by wiedza i zdolności tej miary, jakie posiadał Matuszewski,

nie paczyły się i nie marnowały tak boleśnie w feljetonach pism codziennych czy też odwiętych w tragicznej walce o chleb powszedni.

Matuszewskiemu należała się oddawna katedra literatury polskiej w Krakowie, a musiał on zasiąść przy biurku redakcyjnym „Tygodnika Ilustrowanego”.

ZNAMIENTNE OBawy.

Zmiany w księgarstwie poznańskim. Pod tym nagłówkiem stwierdza „Kurier Poznański” transakcję księgarń poznańskich na rzecz firm warszawskich i zaopatruje ją w uwagi następujące:

Notując powyższe, wyrazić musimy pewną obawę również o los reszty dawnych księgarń poznańskich. Obawę tę uzasadnia fakt, że kilku największych wydawców warszawskich otwiera w najbliższym czasie w Poznaniu swoje filje, oraz z temi samymi zamiarami nosi się kilku większych wydawców krakowskich i lwowskich. Czy nowy Poznań okaże się jako złotonośne „eldorado” dla tylu nowych księgarń — nie wiadomo. Pewnym jednak zdaje się być jedno, mianowicie, że dotychczasowe księgarnie poznańskie — o ile nie mają charakteru wydawniczego — czeka odąd przyszłość bardzo wątpliwa; wobec tak przemożnej konkurencji — słaba wegetacja, jeżeli zgoła nie likwidacja.

A więc: Obawa przed większą ilością księgarń! My ze swej strony notujemy, że „Kurier Poznański” nigdy nie wyraził obawy na temat nadmiaru piekarń, sklepów rzeźniczkich albo piwiarni. Sielankowo-straganiarskie stosunki dotychczasowe na polu księgarstka w Poznaniu niewątpliwie dogorywają; czy nastąpią czasy lepsze dla naszego czytelnictwa — trudno dzisiaj twierdzić, zwłaszcza znając stronę ujemną księgarstwa polskiego wogóle. Podkreślać tu tylko musimy, że gdy przed trzema laty założyciele „Ostoj” w czyn wprowadzali swe dzieło ku podniesieniu naszego ruchu wydawniczego i książkowego, wtedy to nie znajdowano dość namiętnych słów potępienia przeciw „najazdom literackim”, dość słów lęku przed „różnymi spółkami wydawniczymi i czasopismami literackimi”. Dziś się zanię to same słyszmy głosy przed najazdem księgarstka. Podówczas wszystko czyniono, aby zapobiec rozwojowi ruchu książkowego w dzielnicy naszej, dzisiaj dzwoni się na alarm, że juki pozostawione za przyczyną owej destruktywnej kontragitacji pozostawione wypełnione być mają przez ludzi innych dzielnic Polaki.

„Kurier Poznański”, który stanął na czele walki przeciw budzącemu się przed trzema laty ruchowi literackiemu i wydawniczemu, sam przedewszystkiem utworzył drogę „najazdowi księgarstka”, nad którym dzisiaj rzewno łzy roni.

Niestety wpływy hamulcze były podówczas jeszcze na tyle silne, że nie dopuścili do pełnego rozwoju wielkich zamierzeń garści ludzi ideaowych i jeżeli ruch wydawniczy i książkowy w Poznaniu — odtąd w większych ujawniający się rozmiarach — nie będzie spełniał w całej pełni kulturalnego swego zadania (w co zresztą przedewszystkiem wątpić nie chcemy) — to dzieć się to będzie za przyczyną tych właśnie kół naszych, których „Kurier Poznański” jest wyrazicielem. Piętna tego i strasznej winy nie zmażą z ich czoła żadne wykryty ani „kulturalne” frazesy.

WYCINANKI.

„Kurier Poznański” nr. 96 z dnia 25. kwietnia 1919.

„Z zadowoleniem można dziś już stwierdzić, że Poznań dzisiaj jest zgoła niepodobny do Poznania wczorajszego, tego

choćby z przed 6 laty. Nie mówię tu oczywiście o stronie politycznej życia naszego, ale o tym żywiolowym wręcz pędzie wzwyż w dziedzinie życia duchowego, jaki ogarnął i najszersze sfery naszego społeczeństwa, a który najdosadniej ujawnia się (pod wieczór na placu Wolności? — red.) w uczęszczaniu na widowiska teatralne, na koncerty i odzyny."

"Przed kilkunastu dniami byliśmy świadkami charakterystycznego zbiegu okoliczności: W ogrodzie Potockiego „Alzacja" — teatr przepełniony, w Bazarze wykład ks. kan. Prądzyńskiego — sala wyprzedana, w księgarskiej „Mozajce" jakiegoś lichotwo, — wszystkie miejsca zajęte, kina — obłożone..." (wszystko to ilustruje zdaniem autora ów „żywiolowy wręcz pęd wzwyż w dziedzinie życia duchowego" — red.).

"Z tego założenia wychodząc, witam otwarcie nowego przybytku Melpomeny — Teatru Letniego z całą żywiołowością. Siedzibą swą obrał „Letni" w sali Gaumera... ozdobionej licznymi emblematami narodowymi i herbami miast oswobodzonej już części Wielkopolski, tudzież karykaturami znamienitszych mężów (Jan Kasprówicz (o zgrozo! — red.), Paderewski, Dowbór-Muśnicki, Haller, Korfanti itd.), wykonanymi przez pp. Heimrata i Z. Springera pod kierownictwem p. Stefana Sonnewenda."

Cz. Kędzierski.

Język polski a poznańskie władze. (Obrazek do naszego artykułu „Nieucstwo" z zeszytu 3-4 „Zdroju").

"Na odcinek 5 czerwonej karty zostaną 2 funty złotego cukru do zapraw rozdzielone. Kupiec detaliczny dostarcza odcinki do 12. lipca engrosiście, który te odcinki do 15 lipca Prowincjonalnemu Urzędowi Cukru wręczy. Od 17. lipca u kupca

być odebrany może złoty cukier za oddaniem odatemplowanego znaczka od detalicznego."

Magistrat.

"Przy ulicy Wenecjańskiej (po polsku mówi się: Weneckiej — red.), nr. 4. są śpichlerze natychmiast do wydzierławienia."

Magistrat.

Z salonu Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych. (Witold Magdziński — „Dziennik Poznański" 153).

"Ludzkość w swym dążeniu do ideału życia idzie bezustanną drogą postępu i sztuka również kroczy naprzód" (czy w salonie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych? — red.).

"Piękno jest najwyższym celem twórczości w sztuce."

"Okres twórczości doby ostatniej w sztuce plastycznej obfituje w liczne usiłowania zerwania z dotychczasowymi sposobami wypowiadania się i to tak formą jak treścią. Jest to czas prób i eksperymentów, często zbyt skrajnych, których w swym rezultacie nie zawsze nazwać można pięknymi."

"Rząd polski czuwać musi, by jednostki wybitnego talentu się nie wypaczyły."

"W sztuce naszej panuje w dużej mierze pewna dorywczość, jakby nerwowość."

KSIAŻKI NADESŁANE:

Włosa i wino — Kazimierz Wierzyński. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1919. Nakład Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie.

Oktostychy — Jarosław Iwaszkiewicz. Nakładem Redakcji „Pro Arte". Warszawa 1919.

Facjacje republikańskie — Jan Lechoń i Antoni Slonimski. Warszawa 1919.



Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji i administracji w Warszawie: Jarosław Iwaszkiewicz, ulica Nowogrodzka 7 (biuro Zdroju). — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja" w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja" Poznań.

Odbito w tłoczni „Pracy" w Poznaniu.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szamaj, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**



nabyć można za pośrednictwem naszym



REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wolności 17

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz

na wszystkich pocztach.

(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie
5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk.

„SPRAWA POLSKA”

Tygodnik polityczny

:-: i społeczny :-:

Cena zeszytu 60 fen.

Prenumerata kwartalna 6 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINI-
STRACJI: ulica Szkolna 3., I. p.

BIBLIOTEKA „ZDROJU”.

Ukazały się trzy tomy „Biblioteki Zdroju”. Nabyć je można
w składach głównych „Zdroju” w Warszawie, Lwowie, Kra-
kowie oraz w administracji „Zdroju” i w „Ostoji” w Poznaniu.

- Tom I. Między wiosną i latem najświętsza godzina — Paul Claudel — 2 mk.
- Tom II. Samskara (opowieść) — Jerzy Hulewicz — 2 mk.
- Tom III. Ekspresjonizm — Słowacki i Genezis z Ducha. — Stanisław Przyby-
szewski — 4 mk.

,PRO ARTE'

Pismo młodzieży literackiej

Wychodzi w Warszawie 28-go każdego miesiąca.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Tel. 236 23 Złota 8. m. 5. Tel. 236 23

(codziennie od 2—3 po poł.)

W r. 1919 ogłoszono utwory:

J. Albińskiego — A. Bielyja — C. Breitera — S. Grabińskiego — W. Horzycey — W. Husarskiego — I. K. Iłakowiczówny — J. Iwaszkiewicza — Z. Karskiego — J. Lechonia — M. Niklewiczowej — Z. Reuttówny — J. A. Rimbaud'a — A. Słonimskiego — J. Tuwima — K. Wierzyńskiego — W. Zawistowskiego.

Nowości!

JULIAN TUWIM: **Chybanie na Boga** 6,— mk.

— **Sokrates tańczący** (w druku)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: **Oktostrychy** 400 numerowanych egzemplarzy; okładka rysunku A. Słonimskiego 5,— mk.

ANTONI SŁONIMSKI: **Sonety** — okładka rysunku autora 3,50 mk.

— **Harmonja**, wieniec sonetów, 200

numerowanych egzemplarzy; okładka dwubarwna rysunku autora 5,— mk.

— **Czarna włosna**, poemat rewolucyjny, 400 numerowanych egzemplarzy; okładka rysunku autora 5,— mk.

(cały nakład obłożony aresztem)

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: **Włosna i wino** 3,30 mk.

:: Żądać w wszystkich księgarniach. ::

ZAKŁAD OŚWIETLANIA

LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. 27. grudnia 18 (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 8183.

Nadzwyczajny wybór
wykwintnych przedmiotów do oświetlania
elektrycznego, gazowego i okowicianego
w wytwornem i skromnem wykonaniu.

Aparaty do gotowania i ogrzewania

Bracia Kiwi

Tel. 2947

Poznań, ul. Sow. Mielżyńskiego 9

Tel. 2947

Cieszący się najlepszą renomą
magazyn stylowych wielkopańskich
urządzeń mieszkalnych.

Najwyższa sprawność.

Fortepjany, pianina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne,
także Bechsteina, Berdixa, Steinwaga, Sohlfedmayera, Hinkla, Horügla, Burgera itd.

Karol Ecke w Poznaniu, ul. Seweryna Mielżyńskiego 19
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

